

# Hardy Kate

## Miłość na urodziny

*Tego roku wszyscy zapomnieli o urodzinach Jane.  
Miałaby spędzić wolny dzień, sprzątajac mieszkanie?  
Lepiej zrobić kilka rzeczy, na które zawsze miała ochotę,  
lecz brakło jej odwagi. Na przykład pocałować na ulicy  
zupelnie obcego mężczyznę...*

## ROZDZIAŁ PIERWSZY

Był cudowny.

Opierał się o kamienną kolumnę przed wejściem do biurowca. Ręce splótł na karku, głowę lekko odchylił do tyłu. W zamyśleniu spoglądał na Tamizę. Lewą nogę ugiął w kolanie, stopę oparł o ścianę budynku. Jego ciemne, lekko kręcone włosy wyglądały, jakby do czesania używał jedynie palców. Wysoki, przystojny, ciemnowłosy, w białej koszuli bez krawata, z rozpiętym kołnierzykiem, w ciemnych spodniach od garnituru - wyglądał seksownie i... niebezpiecznie.

Właśnie takiego kogoś szukała Jane.

To dlaczego była tak skrepowana? Dlaczego po prostu do niego nie podeszła i...?

- Bo jesteś ciamajdą - mruknęła smętnie.

Charlie, jej współlokatorka, zrobiłaby to bez problemu. Pocałowałaby go, po czym z uśmiechem życzyłaby miłego dnia i zniknęła w tłumie. No tak, ale Charlie miała taki zawadiacki styl i koniec. I wszystko jej uchodziło.

Jane była zupełnie inna.

To był zwariowany pomysł. Kogo stać na to, by znienacka podejść do kompletnie obcego, wysokiego,

przystojnego mężczyzny - i ot, tak sobie go pocałować?

Ale ten facet był po prostu boski.

Wpadła na pomysł, by zrobić mu zdjęcie komórką. Nie miała odwagi, by go pocałować, to chociaż pstryknie mu fotkę i pokaże Charlie mężczyznę swoich marzeń. Podeszła bliżej, by objąć jego sylwetkę w kadrze.

Gdy naciskała spust migawki, odwrócił się w jej stronę.

- Hej!

O nie, nie, nie!

Cofnęła się, ale niezbyt szybko i palce jego prawej dłoni zacisnęły się na jej nadgarstku niczym kajdanki.

- Co robisz?

- Nic.

- Zrobiłaś mi zdjęcie!

Dlaczego nie mogła się zapaść pod ziemię ze wstydu?

Przyglądał się jej uważnie. Miał najpiękniejsze na świecie zielonoszare oczy, ale nie było w nich słodyczy.

- Przepraszam. - To nie tak miało być. - Czy możesz mnie już puścić? -

Zaczęła wyrywać się z jego uścisku.

- Puścić? Nie wyjaśniłaś mi jeszcze, o co tu chodzi.

- Przepraszam. To był impuls. Głupi impuls. - Wyłączyła telefon i schowała go do torebki. - A te-

## 143

raz chciałabym już odejść i schować się za tą palmą w donicy, zanim spałę się ze wstydu. - Ostatnie słowa wymówiła z zaciśniętymi zębami. Ku jej zdziwieniu uśmiechnął się.

Uśmiech całkowicie zmienił jego twarz. Nawet ucieszyła się, że nadal ściska jej nadgarstek, bo bała się, że nogi mogłyby jej nie unieść z wrażenia. Wysoki, ciemnowłosy, przystojny i zamyślony facet, przez chwilę zły facet, przekształcił się w kogoś, przed kim gięły się kolana. Zdała sobie sprawę, że nie grają w jednej lidze. Był dla niej za piękny.

- Mam lepszy pomysł. Chodźmy na kawę.

- Na kawę? - powtórzyła skonsternowana.

- Mam przeczucie, że to będzie długa opowieść. I zrobi się bardziej kulturalnie, jeśli usłyszę ją przy kawie.

- Ale... - Skrzywiła się zaskoczona. - Czy nie masz właśnie przerwy w biznesowym spotkaniu?

- To było potwornie nudne spotkanie. Mój agent załatwi za mnie wszystko.

Agent? To musi być jakiś ważniak albo celebryta. Że też ze wszystkich mężczyzn przed biurowcem musiała wybrać właśnie tego.

- Aaa... nie musisz zabrać marynarki?

- Po pierwsze, to nie mam marynarki. - Ruszył, nie dając jej innej możliwości, jak tylko podążyć za nim. - Ale jeśli poczujesz się przez to lepiej, to Harry zaraz dostanie odpowiednie instrukcje.

- A kto to jest Harry?

- Mój agent. W simie to masz rację. Uprzejmie byłoby im powiedzieć, że będą musieli dokończyć beze mnie. - Wyjął z kieszeni komórkę i wybrał numer. - Harry? Tak. Nie. Przykro mi. Zadzwoń do ciebie później, dobrze? Tak. Dzięki.

Gdy chował telefon do kieszeni, byli już w kafeterii.

- Espresso? Cappuccino?

- Latte.

- Dwa razy poproszę - rzucił z uśmiechem. Zakasłała i skierowała wzrok na jego palce. Uwolnił ją z uścisku i zapłacił, zanim zdążyła wyciągnąć pieniądze.

- Zaczniemy od początku. Jak masz na imię?

- Jane.

- A na nazwisko?

- Redmond.

- Mitch Holland. - Upił łyk kawy, odchylił się w fotelu. - Więc o co w tym wszystkim chodziło?

- Dziękuję za kawę, panie Holland.

- Mam na imię Mitch. No, mów.

- No dobrze - zaczęła, okręcając szklanekę w palcach. - To wyda ci się... śmieszne. Dziecinne. Głupie.

- Mimo wszystko wyjaśnij.

- Dziś są moje dwudzieste piąte urodziny.

- Sto lat! I co dalej?

O matko! Ale nieugięty typ.

- I nikt o nich nie pamiętał. Ani rodzice, ani brat, ani przyjaciółki, z którymi mieszkam, ani nawet

koleżanki z pracy. - Podniosła wzrok i spojrzała mu prosto w oczy. Żeby sobie nie myślał, że wy-mięka. - Dlatego zrobiłam sobie wolne. I miałam do wyboru: urządzić żalospną imprezę i gnić w domu albo zrobić coś, co zawsze chciałam robić, lecz nigdy nie miałam czasu. Więc wybrałam to drugie.

- Czyli robić, co zawsze chciałaś zrobić.

- Coś, co większość kobiet już zrobiła przed ukończeniem dwudziestu pięciu lat. - Widziała, jak usilnie się zastanawia, czego ona jeszcze nie zrobiła, choć inne kobiety jak najbardziej. - Jeśli musisz koniecznie wiedzieć, to na pierwszym miejscu listy było pocałowanie wysokiego, ciemnowłosego i przystojnego nieznajomego. Ale spękałam i zamiast tego zrobiłam ci zdjęcie.

- Chciałaś mnie pocałować? To ciekawe...

- Przyciągnął ją do siebie na kolana, objął kark i przysunął usta do jej ust, drażniąc się z nią, smakując, no i poczynając sobie coraz śmieiej, oznajmiając bezsłownie, że jej pragnie. I udowadniając jej, jak ona pragnie jego.

Londyn zaczął się rozmywać, kawiarniany hałas też gdzieś znikł. Niczego nie słyszała. Niczego nie widziała, bo miała mocno zaciśnięte oczy. A jej pozostałe zmysły były całkowicie skupione na Mi-tchu - na dotyku jego ust. Na cytrusowej woni żelu pod prysznic, którego użył rano. Na smaku jego ust

- kawie wymieszanej z czystą męskością.

Dopiero gdy pocałunek się skończył, Jane zdała

sobie sprawę, że Mitch obejmuje jej plecy, przyciskając ją do siebie, a jej dłonie są wplecione w jego włosy. Miękkie, seksowne, kudłate włosy. Do licha!

Takich rzeczy jeszcze nigdy nie robiła. Nikt nigdy nie całował jej tak mocno, że zapomniała, gdzie jest.

- Sto lat! - powtórzył.

- Dziękuję.

Zsunęła się z jego kolan i usiadła na swoim krześle.

- Więc właśnie to będziesz dzisiaj robić? Chodzić po mieście i całować nieznajomych? - spytał z rozbawieniem.

- To był tylko jeden mały punkcik na liście.

- Więc co jeszcze masz na tej liście?

- Takie tam... to i owo. - Wzruszyła ramionami. Czyli coś, czym ktoś taki jak Mitch Holland na pewno nie byłby zainteresowany.

Dziesięć minut wcześniej Mitch nawet nie miał pojęcia, że ktoś taki jak Jane Redmond w ogóle chodzi po powierzchni planety. A teraz ją pocałował, i to tak naprawdę, do tego w miejscu publicznym. Wystarczy, by się podniecić.

I zwariować.

Tak naprawdę to powinien trzymać głowę na kłódkę. Dopić kawę, a potem pożegnać się, bo musi pędzić na spotkanie.

Ha! Kogo tu chciał oszukać? Zapłacił za kawę.

147

Nie musiał być uprzejmy. Mógł wyjść, kiedy tylko mu się zamarzy. Przerazało go to, że wcale nie chciał wyjść.

A jeszcze bardziej to, że chciał się dowiedzieć czegoś więcej o Jane Redmond.

Związki z kobietami nie były w jego życiu nawet na liście „pozostałych spraw biznesowych”, nie wspominając o tym, że nie znajdowały się nigdzie wyżej. To dlaczego jego usta nie realizowały tego samego planu, który podpowiadał umysł? Dlaczego zadał jej pytanie?

- A co to za to i owo?

- A dlaczego chcesz wiedzieć?

- Bo wpłatałem się w realizację pierwszego punktu. - Zaszokowany przyznał przed samym sobą, że miałby ochotę powtórzyć pocałunek. - To i owo zwykle bywa zabawniejsze, gdy robi się je z kimś innym.

- Chcesz się wprosić?

Absolutnie nie. Nie, nie, po trzykroć nie.

- Tak.

- Nigdy nie chciałbyś robić tego co ja.

Miał przed sobą furtkę. „Tak, Jane, masz rację. Jeszcze raz sto lat.

Miłego, słodkiego życia”. To powinien powiedzieć i zniknąć. A zarazem po raz pierwszy od wielu lat ktoś w taki sposób rzucił mu wyzwanie.

Pierwszy raz od... nawet nie pamiętał, kiedy ostatnio ktoś go

zaintrygował. I nie chciał, żeby to uczucie rozplynęło się w powietrzu, jeszcze nie teraz.



- Wypróbuj ranie.
- No dobrze. Chcę zanurzyć nogi w fontannie na Trafalgar Square.
- Jasna sprawa. Trzeba tylko przechytrzyć strażników fontanny.
- To są tam jacyś strażnicy?
- A tak. Pilnują, żeby nikt nie zanurzył w fontannie nawet małego palca u nogi. Owszem, można usiąść na murku i zrobić sobie zdjęcie, ale nie wolno moczyć nóg.
- Aha. - Machnęła ręką. - No to mam kolejny punkt z listy.
- Niekoniecznie. Mogę ci pomóc. Zidentyfikuję strażników i odwrócę ich uwagę, a ty uderzysz na Trafalgar Square, jeśli naprawdę tego chcesz. Chyba że... - Powinien trzymać głowę na kłódkę, ale nie mógł powstrzymać się od chęci robienia czegoś, czego normalnie by nigdy nie robił. Do tego z nieznaną kobietą. Z kimś, kogo zupełnie nie znał i kto nie będzie go oceniał. Byłby to dzień, w którym mógłby zapomnieć o przeszłości. Po prostu żyć.
- Chyba, że... co?
- Jest taka fontanna trochę dalej przy South Bank. Można stanąć w jej środku, mając dookoła opadający płaszcz wody.
- Ale to nie zabawa dla ciebie. Czyżby go prowokowała?
- A niby dlaczego nie?
- Jeśli spojrzę pod stół, to założę się, że zobaczę parę ręcznie wykonanych włoskich butów.

- I co z tego?

- A to, że nie jesteś odpowiednio ubrany, by robić to, co ja chcę robić.

- Hm. - Zmierzył ją wzrokiem. Niebieskie oczy, jasnokasztanowe włosy spięte w mały koński ogon, o jakieś piętnaście centymetrów niższa od jego metra osiemdziesiąt trzy. Typowa dziewczyna z sąsiedztwa.

Z takimi kobietami nie chciał mieć do czynienia. To, że pocałował ją w miejscu publicznym, było totalną głupotą. Spojrzał pod stół.

- Masz lniane spodnie i półbuty, więc nie planujesz robienia głupstw.

- Mam na sobie wygodne ciuchy, odpowiednie do łożenia po mieście w ciepły, kwietniowy dzień.

- A kto mówi, że to nie jest wygodne ubranie? - Wskazał palcem na swoją koszulę. Co z tego, że ręcznie szyta? Dekadencki luksus, który ledwie pozwala znieść pobyt w śródmieściu.

Teraz przyszła jej kolej na spojrzenie pod stół.

- Miałam rację w kwestii butów. Nie będziesz ich niszczył w fontannie.

- Zobaczymy. Co jest następne na liście?

- Wejście na szczyt wieży katedry Świętego Pawła i szeptanie na Galerii Szeptów.

Tym razem nie zdołał powstrzymać złośliwego uśmiešku.

- Ile miałaś lat, gdy tworzyłaś tę listę?

- Nie powiem.

## 150

- Mogę się domyślać, że najwyżej piętnaście. Zgadł, bo jej twarz spłonęła się najpiękniejszym odcieniem różu.

- Już ci mówiłam, że to głupia lista. - Umknęła wzrokiem.

- Wcale nie. To może być niezła zabawa. Damy radę. Co tam jeszcze masz?

- Pytasz serio?

- Tak bardzo serio jak ty.

- Ale...

- Mój czas należy tylko do mnie - uprzedził jej obiekcje.

- I nie masz drugiej połowy, której może to nie przypaść do gustu?

- Nie mam drugiej połowy. - Kiedyś miał... Do diabła ze wspomnieniami!

- I nie szukam związku. - Musiał jej to powiedzieć. Prosto z mostu. Ten dzień miał swoje ograniczenia. Dzień zabawy - tak. Dzień po dniu prowadzący do związku - nie. Był singlem i zamierzał nim pozostać.

- Nie prosiłam cię o nic. To ty się wprosiłeś do mojego dnia.

- Jasne.

Właściwie znał odpowiedź. Jane Redmond nie należała do kobiet, które myślały o całowaniu się z nieznajomymi, gdyby ich serca były zajęte, ale i tak spytał:

- Jak rozumiem, ty też nie masz swojej drugiej połowy?

- Nie mam. I nie szukam związku.

- To dobrze. Tak więc już wiemy, na czym stoimy. Dziś są twoje urodziny i trochę się zabawimy. - A jutro będzie nowy dzień i nigdy się więcej nie spotkają. - Więc co jeszcze masz na tej liście?

- Popłynięcie statkiem Tamizą do Greenwich, wycieczkę do obserwatorium i stanięcie na południku zerowym. Wejście schodami na balkon Pomnika Wielkiego Pożaru, herbatka w Ritzu. - Zmarszczyła nos.

- To ostatnie jest raczej niemożliwe, bo musiałabym zarezerwować stolik na miesiąc wcześniej. A tego, niestety, nie zrobiłam.

- Zawsze można zapytać i spróbować jakichś czarów. - Przejechał palcami po kołnierzyku. - Może uda mi się zdobyć krawat do tego czasu. A jeśli nie dostaniemy się do Ritza, to zawsze możemy zabawić się u Browna czy w Savoyu.

- Dziękuję ci. Nawet mi się nie śniło, że mogłabym spędzić dwudzieste piąte urodziny z totalnie nieznanym mężczyzną.

Urodziny, o których wszyscy zapomnieli. A Jane, mimo wyglądu dziewczyny z sąsiedztwa, nie była kobietą, którą można było łatwo zapomnieć. Było w niej coś, co już odcisnęło się na nim - coś, czego nie chciał teraz analizować. Przecież chodziło im tylko o zabawę.

- Hej, ćwierćwiecze należy uczcić z należytą powagą.

Było jednak coś jeszcze, czego chciał się od niej dowiedzieć.

- A czemu twoja rodzina zapomniała o tobie? - spytał delikatnie.

- Nie tak do końca zapomnieli.

- Nie rozumiem.

- Moi rodzice są naukowcami. Kiedyś pewnie dostaną order za zasługi dla archeologii i ja będę stała w pierwszym rzędzie, żeby wiwatować na ich cześć. A przedtem będę musiała dopilnować, żeby nie pojawili się na uroczystości w ciuchach, w których grzebią w ziemi.

Tak samo Harry pojawia się w odpowiednim czasie, by przypomnieć mi, żeby zmienił ubranie z roboczego na wyjściowe. Dobrze rozumiał podejście rodziców Jane do życia.

- Więc po prostu nie pamiętają, że to wypada właśnie dziś.

- Poświęcają się swojej pracy, co doskonale rozumiem. Wiem, że mnie kochają, nie czuję się porzucona i zapomniana. Oni po prostu nie żyją w realnym świecie. Pewnie wczoraj wysłali mi kartkę z życzeniami, tylko zapomnieli, że są w Turcji i trochę czasu upłynie, zanim kartka dojdzie do mnie.

Hm... Jemu też to się nie raz zdarzyło.

- A co z bratem?

- Alex jest dwa lata starszy ode mnie. Też skończył archeologię i tak jak tatko i mama żyje w innej czasoprzestrzeni niż zwykli ludzie. Jak już wspomniałam, oni nie zapomnieli o mnie specjalnie. A gdy wreszcie sobie przypomną, będzie im strasznie przykro.

## 153

- A twoi przyjaciele? Znajomi z pracy?
- Moje współlokatorki mają niezły kociół w pracy, więc nie chcę ich jeszcze bardziej stresować jęczeniem, że zapomniały o moich urodzinach. A koleżanki z pracy, hm...
- Też są archeologami? - droczył się.
- Archiwistami.
- Czyli taką zabiurkową wersją archeologów?
- Coś w tym stylu. Zamiast spędzać życie w błotnistym wykopie, w poszukiwaniu wiedzy grzebią w starych dokumentach. Odcięci od świata. Otuleni kokonami przeszłości.
- To całkiem... - Takie bezpieczne i nudne. Siedzieć w jednym miejscu. Jak w pułapce. - Całkiem ciekawe.
- To jest ciekawe - oznajmiła stanowczo, świadoma jego prawdziwych myśli. - Gdy odkryje się coś, o czym świat myślał, że przepadło na zawsze, albo gdy pojawiają się fakty łączące różne wydarzenia, co pozwala wytłumaczyć wiele tajemnic...
- A dlaczego ty nie jesteś archeologiem jak cała reszta rodziny?
- Gdy miałam piętnaście lat, moi rodzice prowadzili wykopaliska w Vindolandii, w jednym z rzymskich fortów Muru Hadriana. Były wakacje, więc Alex i ja pojechaliśmy z nimi. I wtedy dowiedziałam się o pismach Vindolandii. - Jej oczy rozświeciły się, ujawniając taką samą pasję, jaką czuł do swojej pracy. - Wolałam to niż mozolne przesiewanie ziemi na wykopaliskach. Zakochałam się w odcyfrowywaniu

odręcnego pisma, łamaniu szyfrów i poszukiwaniu prawdy o przeszłości w starych dokumentach. I wtedy już wiedziałam, co chcę robić w życiu. Rozumiał jej podejście do pracy, ale nie potrafił zrozumieć, jak można mówić z taką pasją o czymś tak... bezpiecznym.

- A co jest złego w terażniejszości?

- Nic. Akurat ja interesuję się przeszłością. A czym ty się zajmujesz?

O tak, to na pewno jej się spodoba. Coś zupełnie odmiennego od jej stylu życia. Ona codziennie chodziła do tego samego biura i ślęczała nad papierami, a on nie spędzał wiele czasu w jednym miejscu.

- Ścigam burze i huragany.

- Co robisz?! - Spojrzała na niego, jakby z boku wyrosła mu druga głowa.

- Ścigam huragany - powtórzył z uśmiechem. - Robię fotografie ekstremalnych warunków pogodowych.

- Tornada, tajfuny i huragany?

- To też.

- W Ameryce?

- Czasem. Ale należy pamiętać, że w Zjednoczonym Królestwie jest więcej trąb powietrznych na kilometr kwadratowy niż w jakimkolwiek innym miejscu na świecie.

- Żartujesz.

- Rocznie jest to liczba pomiędzy trzydzieści a czterdzieści. Tyle tylko, że większość z nich jest mała i nie trwa długo, i zwykle występują na ob-

szarach wiejskich i na wybrzeżu, więc nie słyhać o nich w wiadomościach. Te największe, które uszkodziły tysiące domów w Birmingham i Kendal Rise, są bardzo rzadkie.

- Jesteś łowcą burz! - powtórzyła z przejęciem.

- Więc o tym było to spotkanie?

- Nie. Było poświęcone wystawie moich fotografii. Co prawda lubię je robić, ale nie cierpię o nich rozmawiać. Wczoraj musiałem siedzieć przez cały dzień w jednym pomieszczeniu. Nienawidzę tego. Wolę otwartą przestrzeń.

- Nawet gdy nie zanosz się na burzę? - Zerknęła w niebo.

- Nawet. - Fotografowanie było tylko częścią jego pracy, pokazową, która wspierała poważne badania. - Nie mam przy sobie aparatu fotograficznego. Mam wolny dzień. Ty zresztą też. - Dopił kawę.

- Chodź, znajdziemy jakąś fontannę.



## **ROZDZIAŁ DRUGI**

Mitch nie pamiętał, kiedy się ostatnio tak dobrze bawił. Poszli do fontanny na South Bank, biegali między strumieniami wody i unikali wachlarzy wodnych, zanim zamkną się „wodne grotty”. Potem wspięli się po trzystu jedenastu stopniach spiralnych schodów prowadzących na balkon na szczycie kolumny wzniesionej na pamiątkę Wielkiego Pożaru i weszli na szczyt wieży katedry Świętego Pawła, gdzie z jednego końca Galerii Szeptów Mitch wyszeptał: „Sto lat”, a Jane z drugiej strony: „Dziękuję ci”. Ich ledwie słyszalne słowa zostały wzmocnione przez idealnie akustyczny kształt kopuły.

Mitch pocałował ją przelotnie, gdy doszli do najwyższego punktu po zewnętrznej stronie kopuły osiemdziesiąt pięć metrów nad poziomem ziemi. W głowie mu się kręciło, ale nie miało to nic wspólnego z lękiem wysokości; oczywiście wszystko było przez Jane.

Widział po jej rozszerzonych źrenicach, że czuła to samo.

Zauroczenie.

Zwariowane zauroczenie.

Zdawał sobie sprawę, że nie był w jej typie. Pewnie wolałaby kogoś grzebiącego w przeszłości, nie kogoś, kto najchętniej zostawiłby przeszłość samą sobie. Wolałaby kogoś, kto zajmuje się bezpiecznymi, zwykłymi sprawami, a nie kogoś, kto czuł, że żyje jedynie wtedy, gdy szaleje nad nim burza, a którego miejsce pracy znajdowało się w promieniu dziesięciu kilometrów od wirującego tornada.

Ona też nie była za bardzo w jego typie, choć tak naprawdę nie miał swojego kobiecego typu.

- Mitch?

- To tylko urodzinowy pocałunek. - Wiedział, że jest inaczej. Intensywnie odczuwał jej obecność, słoneczne odblaski na miedzianozłotych włosach, lekką woń jaśminu... I to pragnienie, by jej dotykać.

Dobrze, że znajdowali się w miejscu publicznym.

Jednak gdy dotarli do przystani przy Westminsterze, kupili bilety na statek wycieczkowy i usiedli, nie mógł powstrzymać się przed objęciem jej ramieniem. A ona oparła lewą rękę na jego udzie, by utrzymać równowagę. Był to gest zbyt intymny dla przyjaciół, a co dopiero dla nieznanym. Ledwie go dotykała, a on czuł pulsującą krew w jej żyłach. I czuł bicie swojego pobudzonego serca.

Ale to tylko dziś.

Tylko dziś nie była „omnibusem historii”. Nie była córką, która musiała organizować życie swoim rodzicom, bratu i współlokatorom. Nie była uprzejmą, cichą

archiwistką, która pomagała ludziom odnajdować dokumenty, których potrzebowali, czy mozolnie odczytywała stare manuskrypty, by poznać zamierzchną przeszłość.

Tylko dziś bawiła się tak doskonale. Robiła to, o czym zawsze marzyła i planowała, ale nigdy nie miała na to czasu. I robiła to z najwspanialszym mężczyzną, jakiego kiedykolwiek spotkała. Szli do Obserwatorium Królewskiego w Greenwich, obejmowała Mitcha ręką w pasie, on oplatał jej plecy ramieniem.

Jak kochankowie.

Aż przeszedł ją dreszcz.

Nie byli przecież kochankami. A Mitch Holland nie był mężczyzną dla niej. To nie był typ, który mógłby zapuścić gdzieś korzenie. Miał tę samą pasję

I poświęcenie dla pracy, co jej rodzice i brat - a może były nawet większe. Archeolodzy przynajmniej przez jakiś czas zostawali w miejscu prowadzonych wykopalisk. A łowca burz nie siedział w jednym miejscu dłużej niż przez tydzień.

Ale dziś... dziś w jego towarzystwie było cudownie. Mitch okazał się doskonałym kompanem do zabawy i potrafił się cieszyć z drobnostek.

Weszli na podwórze Obserwatorium.

- Na liście był południk zerowy, tak? - zapytał.

- Tak. I chciałam stanąć nad nim w rozkroku, by każda stopa była na osobnej półkuli. Co oczywiście robią tutaj wszyscy turyści.

Po chwili stali w lekkim rozkroku nad cienką, wykonaną z brązu linią biegnącą w poprzek podwórza. Mitch pochylił się i musnął ją ustami.

- Sto lat, Jane! Sto lat na zerowej długości geograficznej! - Znów objął ją ramieniem. - Chcesz zwiedzić muzeum?

159

- Nie mamy na to czasu. Musimy jeszcze zdążyć na herbatkę do Ritza. Poza tym znam muzeum morskie dość dobrze.

- Pracowałaś tutaj?

- Współpracowałam z nimi podczas przygotowań do wystawy o piractwie morskim. Zajmowałam się jak zwykle ekspozycją dokumentów, ksiąg pokładowych, pamiętników podróży.

- Więc jesteś ekspertem do spraw piratów?

- Poniękad.

Oczy rozbłysły mu z rozbawienia.

- Sposób, w jaki na mnie patrzysz, wyraźnie wskazuje, że uważasz mnie za pirata.

Roześmiała się.

- Jeśli jesteś zamyślony i taki poważny, jak wtedy, gdy wyszedłeś ze spotkania, to tak.

- Zamyślony i poważny? Coś ty! Jestem małym kociakiem.

- Jak ty jesteś kociakiem, to ja jestem chińską cesarzową.

- Jednak jestem kociątkiem.

- Jesteś łoweą burz.

- A nie mogę być jednym i drugim?

Z pewnością nie. Mitch zdecydowanie był bardziej piratem niż kociakiem.

## 160

- Chodźmy coś zjeść - zaproponowała.
- A na co masz ochotę?
- Na kanapkę w parku. Ja stawiam.
- Nie ma mowy. To twoje urodziny, więc ja stawiam. I nie próbuj kłócić się ze mną.

Kilka minut później siedzieli na wzgórzu, jedząc kanapki i podziwiając widok na Londyn. Gdy zjedli, Mitch rozciągnął się na trawie i spoglądał w niebo.

- Nic nie jest piękniejsze niż kolor angielskiego nieba na wiosnę - oświadczył.

Jane zadarła głowę, a Mitch ściągnął ją na trawę. Jej głowa oparła się na jego ramieniu.

- Te chmury najbardziej mi się podobają. To cirrusy. - Wskazał palcem na delikatne pierzaste chmurki.
- Wyglądają, jakby były rozciągnięte po niebie piórkiem.
- Tworzą się w wysokich warstwach atmosfery z kryształków lodu. To dlatego sprawiają wrażenie takich pierzastych.
- Założę się, że jesteś tak samo stuknięty na punkcie chmurek, jak ja na punkcie paleografii.
- Całkiem możliwe - przyznał ze śmiechem.
- Robisz zdjęcia chmur? Czy tylko trąb powietrznych i wichur?
- Zawsze fascynowały mnie chmury i też je fotografuję.
- Dlaczego zostałeś łowcą burz?
- To naturalne, gdy się kończy meteorologię.

Czuła, że powiedział tylko półprawdę, ale nie chciała zepsuć dnia wścibską indagacją.

- Chcesz mi powiedzieć, że byłeś panem Zefir-kiem i wmawiałeś ludziom, że będzie piękna pogoda, a tymczasem lało jak z cebra?
- Nie zapowiadałem pogody w telewizji ani w radiu. Zajmowałem się tworzeniem modeli klimatów. Analizowałem formacje chmurowe, śledziłem pomiary ciśnienia atmosferycznego, badałem powstawanie burz, tajfunów, huraganów i przewidywałem ich ruchy. Przez pewien czas pracowałem na Antarktydzie. To niezwykle miejsce.
- Tam nie ma słońca przez całą zimę.
- Jeśli ty pracujesz pochylona nad dokumentami, to założę się, że nawet nie zauważasz, jaka jest pogoda na zewnątrz.
- Zauważam, gdy wychodzę na lunch.
- Spacer po Antarktydzie to zupełnie coś innego.
- No tak, te straszne minusy poniżej zera. - Wzdrygnęła się.
- Jest ci zimno?
- Nie.

Przyłożył dłoń do jej czoła, by sprawdzić temperaturę. To był delikatny dotyk, ale wystarczający, by pobudzić ogień. Pragnął więcej.

Pochylił głowę i dotknął ustami jej ust w delikatny, najśłodszy ze sposobów.

To było jak rzucenie zapalki na kałużę benzyny.

Jane nie wiedziała nawet, kiedy się na niej

położył. Jego kolana rozchyliły jej uda. Podpierał się na kolanach i łokciach. Czują twardość jego klatki piersiowej na swoich piersiach, płaskość jego brzucha na swoim ciele.

I te jego usta... Drażniące i obiecujące, i takie pożądliwe. Choć coś w niej wrzeszczało, że całowanie się w miejscu publicznym nie jest najlepszym pomysłem, jej ciało robiło swoje.

Gdy pocałunek się skończył, popatrzyli na siebie. Jego oczy płonęły żarem i rzucały błyskawice jak burze, które ścigał. Miał różowe z podniecenia policzki. Jane czuła, że sama wygląda podobnie.

- Na pewno jesteś piratem - szepnęła.

- Co musi oznaczać, że ty jesteś syreną. - Złapał jej dolną wargę swoimi.

- Miteh! To nie tak miało być. - Do diabła, była tak napalona...

- Masz rację. - Podniósł się i przekreślił na bok.

- Przepraszam..

- Ja też.

- Rozumiem, że tego nie było na twojej liście.

- Nie.

- Więc już wiemy, na czym stoimy. Dzisiaj to dzisiaj. Nie chcę cię do niczego zmuszać. Lepiej ruszajmy, jeśli chcemy wypić tę herbatkę u Ritza.

- Wstał, wyciągnął do niej rękę. - Chodź. Muszę jeszcze zdobyć krawat. Jestem pewien, że będą tego wymagać.

W Ritzu wymagano też marynarki, a tę akurat udało się mu pożyczyć.

Niestety, choć Mitch starał

się być wyjątkowo czarujący, majordomus nie mógł w niczym pomóc.

- Nie możemy wypić herbatki jak prawdziwi goście przy stoliku w kawiarni. Miałaś rację, tu trzeba rezerwować stoliki. Jednak możemy usiąść na sofie i wypić po filiżance. - Wzruszył ramionami. - Wszystko zależy od ciebie. A jeśli chcesz do tego kanapki z ogórkiem albo herbatniki z dżemem, to musimy poszukać innego miejsca.

- Filiżanka herbaty w Ritzu całkowicie mi wystarczy, dzięki - odpowiedziała z uśmiechem.

Było tak, jak sobie to wyobraziła: pojawił się przy nich kelner w białych rękawiczkach ze srebrnym imbryczkiem i nalał herbatę do delikatnych porcelanowych filiżanek. W oddali pianista grał Schumanna. To była najwspanialsza herbata, jaką kiedykolwiek piła. I szczęśliwie udało się jej zapłacić rachunek, gdy Mitch był w toalecie, i przez to nie zdołał zaprotestować.

Gdy oddał marynarkę i wychodzili, portier zaproponował im wezwanie taksówki.

- Wolimy iść pieszo - odparł Mitch.

- Nie pamiętam, kiedy ostatnio tak dobrze się bawiłam. Dzięki tobie moje urodziny były niezwykle.

- Cała przyjemność po mojej stronie. Też się świetnie bawiłem. Ale twoje urodziny jeszcze się nie skończyły. Może zjesz ze mną kolację? — Przechylił lekko głowę. - Ale miejsce, które mam na myśli, będzie wymagało od ciebie włożenia sukienki i odpowiednich butów.



- Słucham?
- Wyglądasz świetnie w tym ubraniu - wyjaśnił pośpiesznie - ale miejsce, o którym myślę, wymaga wieczorowego stroju.
- Więc w stroju łowcy burz nie da rady? - zakpiła.
- Nie wierz we wszystko, co widzisz w telewizji. Choć przyznaję, że też będę musiał się przebrać, to znaczy włożyć marynarkę. Tylko tym razem nie taką od szatniarza.
- Więc muszę iść do domu, by się przebrać. To spotkamy się później, tak?
- Mam lepszy pomysł. Chodźmy na zakupy.
- Po co?
- Kupimy ci sukienkę i buty.
- Och, nie ma takiej potrzeby.
- Spełnij moją zachciankę. - W jego oczach pojawiło się to seksowne, lekko nastroszone spojrzenie. - Jeśli boisz się o pieniądze, to nie musisz się tym martwić. Nie jestem biedakiem, poza tym w życiu jest wiele ważniejszych rzeczy od pieniędzy.
- Hm... - To prawda, pomyślała.
- Dziś są twoje urodziny. Zafundowałam ci herbatkę w Ritzu, więc ja zafunduję ci kolację. A ponieważ nie mieszkam w Londynie, to jeśli nie przyjmiesz mojego zaproszenia, będę się sam z sobą nudził wieczorem. Będzie mi tak smutno. - Sfabrykował minę małego chłopca.
- To jest szantaż emocjonalny.
- Wcale nie. Świetnie się bawiłem w twoim towa-

rzystwie. Chciałbym z tobą zjeść kolację. I powiedzieliśmy już sobie, że dziś to dziś. I do jutra mamy jeszcze trochę czasu.

Cóż mogła innego odpowiedzieć, jak tylko się zgodzić?

Pół godziny później byli na Oxford Street. Jane przeciwstawiła się wizycie w butik w South Kensington, bo nie chciała iść do salonu mody, gdzie kupuje się odzież typu *haute couture*. Wołała sklepy oferujące stylowe, doskonale uszyte i wygodne ubrania, które nie wymagały brania kolejnego kredytu hipotecznego.

- Widzę, że nienawidzisz kupowania?

- Skąd taki wniosek?

- Bo wszystkie znane mi kobiety podskoczyłyby z radości na wieść, że czeka je wizyta w magazynach. I zanim taka coś kupi, najpierw odwiedzi z tuzin sklepów.

- Wiem, że niektórym kobietom sprawia to przyjemność. Ja znam ciekawsze sposoby spędzania czasu.

- Mhm.

Ich spojrzenia skrzyżowały się i Jane zobaczyła namiętny płomień w jego ślicznych szarozielonych źrenicach. Oznaczał obietnicę.

O nie. Nie to miała na myśli. Wołała grzebać w starych archiwach lub czytać dobrą książkę na brzegu rzeki albo siedzieć w kuchni i jeść ciasto ze współlokatorami, niż włączyć się po sklepach z ciuchami. I wcale nie miała na myśli seksu.

A to właśnie zdawały się mówić jego oczy.

- Ja... - Słowa utkwily jej w gardle.

- Później pogadamy.

Zatrzymał taksówkę, która zawiozła ich przed elegancki blok mieszkalny na West Endzie. Mitch przesunął kartę przez czytnik. Gdy zapaliła się zielona dioda, pchnął drzwi i zaprosił Jane do środka.

- Mówiłeś, że nie mieszkasz w Londynie - stwierdziła, gdy otwierał drzwi mieszkania

- Nigdzie nie mieszkam. No, na walizkach. Jane weszła do małego mieszkania.

- Więc to nie twoje?

- Wynajęte na krótki okres. Harry tak o mnie dba, bo wie, że nie cierpię hoteli. Mam ich dość okresie burz i huraganów.

Mieszkanie składało się z salonu z rozkładaną sofą, stołem, kilkoma szafkami i małą kuchenką. Faktycznie mogło dawać odrobinę więcej swobody niż hotelowy pokój. Wystrój był jednak surowy, nic, co mogło podpowiedzieć, kim Mitch jest naprawdę.

Jakby czytał w jej myślach, bo wywrócił oczami.

- Posłuchaj, zajmując się tym, czym się zajmuję, przywykłem do minimalizmu. Jestem bez przerwy w drodze. Nie potrzebuję nigdzie zapuszczać korzeni.

Gdy to możliwe? Przecież wszyscy potrzebowali jakiegoś miejsca, do którego mogli wracać. Go tak okropnego wydarzyło się w życiu Mitcha, że wybrał los włóczędzy? Oczywiście nie zamierzała go o to pytać.

Przecież i tak zmieni temat. Cokolwiek by to

było, czuła, że ma związek z lekko podkrążonymi oczami. Zauważyła te krążki, gdy chwycił ją za nadgarstek i domagał się wyjaśnień w kwestii zdjęć.

- Zaparzyć ci kawę, gdy będziesz brała prysznic i się ubierała?

- Chętnie.

- Gdzieś tu musi być suszarka do włosów... Na drzwiach łazienki wisi szlafrok. Weź szampon i cokolwiek będzie ci potrzebne.

Nie wiedziała, czy powinna czuć ulgę, czy niezadowolenie, że nie zaproponował jej wspólnego prysznica. Choć od ostatniego pocałunku na wzgórzu w Greenwich Mitch trzymał ręce przy sobie. Znowu poczuła tę dziwną mieszankę niezadowolenia i ulgi.

Nic o nim nie wiedziała, poza tym, że jest łowcą burz i ma mieć wystawę swoich fotografii gdzieś w Londynie. Poczuła się głupio, że pozwoliła zapłacić mu za sukienkę. A do tego teraz znalazła się w jego mieszkaniu.

Prawie naga.

Czy spodziewa się rewanżu?

Zaciągnęła pasek szlafroka odrobinę mocniej, zawiązała mokre włosy w ręcznik i wyszła z łazienki.

Mitch siedział na sofie z kubkiem kawy w lewej ręce i laptopem na kolanach.

- Szybko się uwinęłaś.

- Chcesz sprawdzić, czy nie zostawiłam brudu za uszami?

- Jane, masz na to o dwadzieścia lat za dużo. - Z uśmiechem odłożył laptop, podszedł do aneksu kuchennego i włączył elektryczny czajnik.

Znowu pomyślała o nim jak o piracie. Biała koszula bez krawata, wieczorny zarost... Rany, najchętniej zrzuciłaby z siebie szlafrok, a potem...

Do licha, co się z nią działo? Przez cały dzień zachowywała się jęknie ona. Przecież była spokojną, cichą archivistką, a nie flirciarą opętaną seksualnymi fantazjami.

Gdy Mitch podał jej kubek z kawą, jego palce przesunęły się po jej dłoni. Przeraziła się, gdy jej ręka zadrżała i rozlało się trochę kawy.

- Przepraszam - mruknęła.

- Nic się nie stało. - Wyciągnął papierowe ręczniki z szafki i skrupulatnie wytarł podłogę. - Skąd ta nerwowość?

- Ja...

- Jane, kolacja to tylko kolacja; nie oczekuję, że odpłacisz mi się seksem.

- Koniuszki jego ust wygięły się do góry. - O ile oczywiście sama tego nie będziesz chciała.

- Och... - Zaparło jej dech w piersiach.

- Suszarka leży na stole. A teraz ja wezmę prysznic. Ubiorę się w łazience. - Wziął garnitur i koszulę z szafy. - Postukaj w drzwi, gdy będziesz przebrana i będę już mógł wyjść, okej?

Więc jednak nie pirat. Raczej dżentelmen, który poczeka, aż wysuszy włosy i się ubierze.

- Dziękuję - odpowiedziała cichym głosem. Mitch zatrzymał się w drzwiach.

- Zamówiłem taksówkę na za pół godziny. Wystarczy ci czasu?

- Nie wszystkie kobiety potrzebują kilku godzin na toaletę.
- Założę się, że będę szybszy.
- A ja założę się, że nie.
- To ja zastanowię się nad okupem dla przegranego. - Zamknął za sobą drzwi.

Zwykle w zakładach między kobietami a mężczyznami przegrana strona płaciła okup w pocałunkach. Ale Mitch powiedział, że nie oczekuje odpłacania się seksem.

„O ile sama tego nie będziesz chciała”.

Słowa te tańczyły w jej głowie. To było oczywiste, że się z nią drażnił.

Jego oczy mówiły wszystko, ale to jej pozostawił prawo do decyzji.

Ciekawe, jak by to było kochać się z Mitchem Hollandem? Jeśli zaledwie jego pocałunek powodował, że stawała się miękka w kolanach, to...

Nagle zdała sobie sprawę, że nie chodzi jej o „gdyby”, tylko „kiedy”.

I wtedy przypomniała sobie o zakładzie.

Nie miała zamiaru przegrać.

Migiem zrobiła się na bóstwo, to znaczy wysuszyła włosy i się ubrała, i zapukała w drzwi do łazienki.

- Jestem gotowa, a ty?

- Ja też. - Otworzył drzwi.

- No brawo, dopiero wiążesz krawat. - Właśnie miała dodać, że wygrała, lecz zaniemówiła. Już w Ritzu, w wypożyczonej marynarce, Mitch wyglądał jak coś do schrupania, ale w ciemnoszarej marynarce uszytej na zamówienie, w śnieżnobiałej

koszuli z jedwabnym krawatem... A niech to! Nie mogła powstrzymać się, by nie dotknąć jego policzka. Był gładko ogolony i wyglądał niezwykle seksownie. Jej palce zadrżały, gdy gładziły jego skórę.

- Co za miłe powitanie. - Ujął jej dłoń, ucałował palce.

- Mitch.

- Więc co dostaje zwycięzca w nagrodę? - zapytał głosem, który zwiastował nadzieję, że Jane zabierze go do łóżka.

Przełknęła ślinę.

- Ja... - Nie potrafiła nic z siebie wydukać. - Powiem później.

- Wyglądasz fantastycznie w tej sukience. - Muskał ustami jej dłoń.

Niby niewinna pieszczota, ale gdy robi to mistrz... Gdyby rozpiął jej sukienkę, nie potrafiłaby go powstrzymać. Po prostu wyszłyby z sukienki leżącej na podłodze i też zaczęłyby go rozbierać... Poszybowała w fantazjach.

Na zewnątrz rozległ się dźwięk klaksonu.

- Nasza taksówka.

- Mhm.

- Zostaw tutaj swoje rzeczy. Zabierzemy je po kolacji.

Jaka kolacja? To on mógł myśleć o jedzeniu, gdy zaś ona...

Wyszli do taksówki.

Restauracja znajdowała się przy niewielkiej bocznej uliczce. By do niej dość, musieli najpierw przejść

przez niewielkie podwórko, ogródek, potem przez kuchnię, gdzie powitał ich majordomus - mężczyzna ubrany w strój z połowy osiemnastego wieku z pudrowaną peruką na głowie. Jane musiała bardzo się starać, by się na niego otwarcie nie gapić.

- Nie miałam pojęcia, że takie miejsce w ogóle istnieje - szepnęła do Mitcha, gdy majordomus prowadził ich do stolika.

- Tylko niewielu wybranych ludzi wie o tej restauracji. Mój ojciec przyprowadził mnie tutaj po ukończeniu studiów.

Jej źrenice rozszerzyły się ze zdziwienia, gdy znaleźli się w sali restauracyjnej. Powinna się tego spodziewać, sądząc po ubiorze majordomusa, lecz i tak była oczarowana. Jakby cofnęła się do osiemnastego wieku - złocenia i kwiatowe ozdoby wokół obrazów i lusterek, sufit pokryty purpurowym jedwabiem przypominał harem sułtana, a obrusy z białego, krochmalonego adamaszku pokrywały stoły wykończone na wysoki połysk. Sztućce były z czystego srebra, tak jak pięknie zdobiony kandelabr na stole, a noże miały ręczki z kości słoniowej.

I na stole nie było kart dań.

To pytanie musiało odbić się na jej twarzy, bo Mitch oznajmił z uśmiechem:

- Musisz mi zaufać. Jedzenie jest tu niezwykle.

- To nie można nic wybrać samemu?

- Poczekaj, a zobaczysz.

Zjawił się kelner z dwoma wysmukłymi kieliszkami szampana.



172

- Sto lat! - Mitch wzniosł toast.

Po chwili znowu pojawił się kelner z *canapés*.

- Dzisiaj szef kuchni postanowił zaproponować gościom wybór z trzech *hors d'oeuvres* i z trzech dań głównych podawanych oczywiście z *mélange* z warzyw.

Potrawy były wspaniałe, tak jak obiecał Mitch. A gdy przyszła pora na pudding...

- Nie potrafię wybrać pomiędzy polentą cytrynową a sernikiem czekoladowym - wyznała Jane.

- To zamówimy obydwie i się podzielimy.

- Wypada w tej restauracji?

- Myślę, że tak - odparł z uśmiechem.

Gdy na stole pojawił się deser, Jane dopiero zrozumiała, że Mitch nie miał na myśli zjedzenia po połowie swojego deseru i wymienienia się talerzami. Wyciągnął do niej łyżeczkę z polentą i namówił, by pochyliła się i spróbowała.

O rany!

- A teraz twoja kolej - zachęcił ją ciepłym głosem.

Skupiła wzrok na jego ustach, gdy wyciągała do niego łyżeczkę z niezwykle sycącym czekoladowo-ścią puddingiem.

- Pyszności - stwierdził.

To nie była pochwała dla puddingu. Gdy pochyliła się z łyżeczką nad stołem, odsłoniła mu najlepszy widok na rowek między piersiami.

Zobaczyła, jak jego oczy pociemniały. Ujrzała w nich to samo pożądanie, które zalewało jej całe ciało.

## 173

Po puddingu przyszła kolej na niezwykle mocną kawę z herbatnikami. Po uczcie Mitch wezwał taksówkę,

- Musisz zabrać swoje rzeczy ode mnie - powiedział, gdy otwierał przed nią drzwi taksówki.

- Oczywiście. - Czyli to był koniec. Pożegnanie.

- Dziękuję ci za wspaiały dzień. Był bajeczny

- wyznała szczerze. Odwróciła się do niego, żeby pocałować go w policzek, ale on przekręcił głowę i jej usta zatrzymały się na jego ustach. Całowali się przez całą drogę powrotną. Długo, głęboko i mocno, nie przejmując się tym, że taksówkarz mógł ich obserwować we wstecznym lusterku.

W końcu znaleźli się w mieszkaniu.

I to było na tyle.

Czas na pożegnanie.

Podniosła z podłogi torbę z ubraniami, które miała na sobie w ciągu dnia.

- Jeszcze raz dziękuję za wszystko.

Co powiedziała? Miłego, słodkiego życia? Do widzenia, nieznajomy?

Nieznajomy miał wargi poczerwieniałe i lekko spuchnięte od pocałunków. Jej pocałunków. Jej usta z pewnością wyglądały tak samo.

- Jane - odezwał się Mitch miękkim głosem.

- Bawiliśmy się bez żadnych zobowiązań. Ja nie szukam związku. I ty też nie.

A jednak miała cichą nadzieję, że coś się zmieniło. Teraz to do niej dotarło. Ze to, co wydarzyło się na wzgórzu w Greenwich, zmieniło wszystko.

Najwyraźniej nic nie zmieniło.

- Nie oczekuję, żebyś się ze mną kochała... Ale... ale jeśli zostaniesz ze mną... - Zdjął krawat. - A tam, do licha... dosyć już z tą zakichaną samokontrolą. Chcę zerwać z ciebie tę sukienkę, Jane. Tu i teraz.

Wiedziała, że powinna się zachować roztropnie i odmówić, bo jutro już nie będzie Mitcha i dalszego ciągu. Ale nie każdego dnia kończyło się dwadzieścia pięć lat. I nie każdego dnia można spędzić noc z mężczyzną, którego uroda zapierała dech w piersiach. Tylko dla zwykłej przyjemności, bez żadnych konsekwencji.

Z uśmiechem rozpięła górny guzik jego koszuli.

## ROZDZIAŁ TRZECI

Mitch stał zupełnie nieruchomo, więc Jane rozpięła następny guzik. I następny. Wyciągnęła koszulę ze spodni i rozpięła resztę guzików.

Wyglądał niezwykle. Z gołą klatką piersiową, lekko rozczochrany z seksownie wilgotnymi ustami. Pragnęła go dotykać i pieścić.

Mitch zdjął marynarkę; Jane położyła dłonie na jego nagich piersiach, przesunęła je w dół na doskonale umięśniony brzuch.

- To nie od ćwiczeń na siłowni, prawda? - zapytała, głaszcząc tę doskonałość.

- A jak myślisz?

- Nie mogę wyobrazić sobie ciebie jako pakera z siłowni.

- Prawie codziennie biegam. Przesunęła palcami po jego obojczykach.

- Czy zdajesz sobie sprawę z tego, jak szpanersko wyglądasz w tej białej koszuli?

- Szpanersko? - Mitch uniósł brwi.

- Mhm. - Koniuszkiem języka dotknęła wgłębienia koło obojczyka. - I bosko.

- To dlatego zrobiłaś mi zdjęcie?

- Jasne. To musiał być wysoki, ciemnowłosy, przystojny nieznajomy. I choć wyglądałeś, jakbyś był w złym humorze, to i tak trudno było ci się oprzeć.

- Miło słyszeć. - Musnął jej usta. - To rozbierzesz mnie w końcu czy nie?

- Nie zamierzam się śpieszyć. Chcę cieszyć się twoim widokiem. Wiem, co robię. I niczego nie zamierzam żałować.

- To dobrze. Bardzo mi się to podoba. - Gdy zsunęła palce po bokach jego ciała, po gładkiej, ciepłej skórze, poskarżył się: - To nieuczciwe, ja jeszcze cię nie dotknąłem. Masz na sobie za dużo ubrań.

- I co zamierzasz z tym zrobić, burzowy chłopczyku? - Poruszyła biodrami.

- To, co od razu chciałem z tobą zrobić. - Rozpiął suwak i zsunął sukienkę z jej ramion na podłogę.

- Mmm... jesteś boska. - Jego palce natychmiast zaczęły delikatnie ją pieścić.

Jane pragnęła jak najszybciej złączyć się z nim pocałunkiem, ale było jeszcze coś, co musiała zrobić.

- Ciuchy na podłodze się pogniotą, a skoro niczego nie mam żałować, to nie chcę, by się zniszczyły.

- Podniosła ubrania; marynarkę powiesiła na oparciu krzesła, a sukienkę rozpostarła na marynarce. - Gdy Mitch zachichotał, fuknęła: - Hej, co w tym śmiesznego?

- Nigdy bym się nie domyślił, że przejmiesz się ubraniami na podłodze.

- Więc chcesz mi powiedzieć, że jesteś bałaganiarzem?
- Mieszkam na walizkach. Moje ciuchy raczej nie widzą żelazka.
- Twoja koszula była wyprasowana.
- Taka wyszła z pralni. Przed biznesowymi spotkaniami Harry zawsze próbuje mnie ucywilizować. Jesteśmy na przeciwstawnych biegunach. Uwielbiam chaos, a ty absolutny porządek.
- No tak, oczywiście. Biorąc pod uwagę miliony kartek, z którymi miała do czynienia, to faktycznie, gdyby nie była pedantką... Taka była jej praca, a on zajmował się tornadami, huraganami, cyklonami, w ogóle najbardziej pokreconą, jak trąby powietrzne, pogodą na świecie.
- Jesteśmy niczym północ i południe.
- No to nie mogę się doczekać, jak się ta dwójka spotka.
- Widzę mały problem, bo wciąż masz na sobie więcej niż ja.
- Więc jak możesz temu zaradzić? Ja jestem człowiekiem czynu, a ty kobietą słów.
- Przyjmuję wyzwanie. - Zsunęła mu koszulę z ramion.
- Hm. Mam gołe piersi, a ty wciąż nie. - Przesunął palcem wzdłuż krawędzi stanika.
- No tak, ale nie mam już sukienki, a ty nadal masz na sobie spodnie. Uśmiechnął się do niej zachęcająco. Postanowiła być kobietą czynu. ..i w mig poradziła

sobie z tą przeszkodą. Buty i skarpetki Mitch zdjął już samodzielnie.

- Skarpetki nie są zbyt seksowne - oznajmił.
- Rajstopy też nie są seksowne - dodała.
- Pomogę ci z nimi.

Nigdy jeszcze nie była rozbierana w taki sposób. Tak powoli. Przez mężczyznę, którego oczy świeciły głodem pożądania.

Ściągając rajstopy, głaskał jej pośladki i uda. Ukłękł przed nią i podniósł najpierw jedną stopę, zdjął pantofel i zsunął rajstopy. Po chwili zrobił to samo z drugą nogą.

- Co za widok. Pragnę cię, Jane. Bardzo. Odurzyły ją te słowa. On czuł do niej to samo.

Zaraz tu wszystko wybuchnie.

- Też cię pragnę, Mitch.

Dziś to dziś. Żadnych konsekwencji. Ale było coś, o co należało najpierw zadbać. Masz prezerwatywy?

- zapytała w myślach. Jeśli nie, to ja pewnie znajdę jedną lub dwie w torebce. Przynajmniej miała taką nadzieję. Gdyby musieli przerwać swe działania, zwariowałyby z frustracji.

- Nie martw się - powiedział - Zajmę się tobą.

- Tylko dziś.

- Tylko dziś. - Wstał z klęczek i splótł z nią palce.

- Chodź do łóżka, Jane. Kochajmy się.

- Do jakiego łóżka? - Popatrzyła znacząco na sofę.

- No tak. - Przewrócił oczami. - W hotelu byłoby prościej. Poczekaaj chwilę. - Rozłożył sofę, wyjął z szafy poduszki i pościel. Po zakończeniu ścielenia usiadł na brzegu materaca.

Jane podeszła do niego. Przyciągnął ją do siebie i posadził sobie na kolanach.

- Chciałem się z tobą kochać, odkąd cię tylko zobaczyłem - wyznał głosem miękkim i lekko chry-piącym z pożądania.

- Odkąd mnie pocałowałaś w kawiarence?

- Mhm.-Musnął ją ustami. - I teraz też chcę cię całować - szepnął. - Tak prawdziwie. - Co rzekł, to i uczynił.

Gdy jej palce zaplątały się w jego włosach, jego dłonie zsuwały się po jej szyi, odpięły paski stanika. Ujął jej piersi, drażnił sutki kciukiem.

Jane nie była pewna, które z nich poruszyło się pierwsze, ale już po chwili siedziała na nim okrakiem, czując jego silną erekcję, jak wtedy, gdy całowali się na wzgórzu w Greenwich.

Całował ją wszędzie, wreszcie wsunął palec pod gumkę jej majtek i przesunął nim po rowku, a gdy doszedł do łechtaczki, Jane zadrżała.

Pobudzał ją okrężnymi ruchami palców, które dokładnie wiedziały, jak i gdzie lubiła być dotykana.

Gdy była blisko wybuchu ekstazy, tak bardzo blisko... Mitch przestał.

Z trudnością podniosła powieki i popatrzyła na niego. Czowała się, jakby została zawieszona w nieokreślonej czasoprzestrzeni, jakby jeszcze chwilę temu wirowała, i nagle wszystko się uspokoiło. Jakby znalazła się w spokojnym oku szalejącego cyklonu.



- Co się stało?

- Nic - odparł z uśmiechem. - Po prostu jeszcze nie jestem gotowy na to, byś miała orgazm.

- To... to nieuczciwe, Mitch.

- Huragany są bardziej spektakularne, gdy powoli budują różnicę ciśnień powodującą okrężny ruch gorącego powietrza, które goni chłodniejsze. A wtedy, gdy huragan uderzy... - Oczy mu zabłyszczały. - Wszystko trzęsie się i drży.

- I to właśnie planujesz ze mną zrobić?

- Tak, właśnie to planuję. - Musnął jej usta, po czym zsunął ją z siebie i wstał z łóżka. Zdjął bokserki i podszedł do szafy.

Szukał czegoś na półkach i wreszcie się odwrócił. Nigdy nie spotkała mężczyzny, którego pragnęłaby bardziej od niego.

A dziś on był jej i tylko jej.

W ręce miał Całą garść prezerwatyw, których nie kupił, gdy byli razem na zakupach. Więc był przygotowany na to, że coś może mu się przydarzyć? Tak jak ona? A może miał ich tyle, bo nigdy nie przebywał w jednym miejscu zbyt długo. Czy wszędzie, gdzie tylko docierał, uwodził kociaka?

- Nie obawiaj się, że jestem jak marynarz, co port, to dziewczyna - znów odgadł jej myśli. - Jestem bardzo wymagający. I jeszcze dodam, że to nie ja zacząłem to wszystko.

- Tylko zrobiłam zdjęcie - broniła się Jane. - To nie ja wprowadziłam pocałunek do równania.

- Bo wymiękłaś. Czy teraz też wymiękasz?

**181**

- Nie.

Rozciągnął się koło niej na łóżku.

- Pocałuj mnie.

Zrobiła to, co chciał, a nawet więcej, a potem zamruczała:

- Jesteś taki piękny.

- Ty też. Masz piękne krągłości. Jesteś doskonałą kobietą, a nie jakimś patyczakiem. - Jedną ręką gładził jej biodro, drugą ścisnął pierś. - I nie jest to zawołany sposób na powiedzenie, że jesteś gruba. Jesteś miękka i kobieca, i bardzo mnie podniecasz. Chcę cię pieścić i całować we wszystkie miejsca. Smakować cię, aż całe twoje ciało zacznie drżeć i będzie ci się wydawało, że wirujesz jak szalona.

- Rany, przecież mówiłeś, że to ja jestem kobietą słów, a ty mężczyzną czynów.

- Skoro już o tym wspomniałaś... - Przełął w czyn swoje słowa, no i wreszcie ściągnął z niej majtki, tę ostatnią zaporę.

Głaskał Jane po udach, sięgał do najczulszych miejsc, robił to palcami, ustami, aż zaczęła się wić. Gdy ponownie znalazła się na krawędzi rozkoszy, on znów przestał. Pozostawił ją w zawieszeniu. A wystarczyłoby tylko jeden delikatny dotyk.

- Jak ja cię nienawidzę! - krzyknęła.

- Wcale nie. Otworzyła oczy.

- Na pewno tak.

- Obiecuję, że nie będziesz mnie nienawidzić.

- Włożył prezerwatywę, uklęknął między udami Jane. - Już? - zapytał.

- Już.

Gdy wszedł w nią, po prostu przestała myśleć.

- Chyba zwariuję... - szepnęła, oplatając nogami jego biodra. Każdy nerw w jej ciele był poruszony i napięty. Sutki miała tak twarde, że aż bolały. A temperatura na pewno wzrosła do poziomu gorączki.

By jeszcze bardziej ją podniecić, Mitch wsunął dłoń pomiędzy ich ciała i pocierał łechtaczkę.

- Aaah... - Nie potrafiła wydobyć z siebie żadnego zrozumiałego słowa.

- Otwórz oczy. Patrz na mnie. - Jego głos był ostry z miłosnego podniecenia, głęboki, rozkazujący.

Zrobiła, co jej kazał.

Uśmiechnął się do niej; jego szarozielone oczy obiecywały jej wszystko. Ostatnie pchnięcie.

Orgazm rozlał się po jej ciele. Tak jak Mitch obiecywał, uderzyły pioruny i wszystko zaczęło drżeć z szalonej ekstazy.

A w jego oczach zobaczyła chwilę, w której uderzył w niego potężny tajfun. Wszystko wokoło się zatrzęsło, zawirowało i zwariowało. Tylko oni byli prawdziwi. I trzymali się siebie mocno. Bardzo mocno.

## **ROZDZIAŁ CZWARTY**

Następnego ranka Mitch jak zwykle obudził się wcześniej. Poza tym, że nic nie było już tak jak zwykle. Bo obudził się wtulony w ciepłe, miękkie, kobiece ciało.

W Jane Redmond.

W kobietę, która weszła w jego życie jak burza. I mimo delikatnej, słodkiej powierzchowności była niebezpieczna jak huragan. Bo po raz pierwszy od wielu już lat obudził się z kimś wtulonym w jego ramiona. Czuł, że mógłby się nią zaopiekować.

Ale nie chciał. Nie mógł sobie na to pozwolić. Jakiś czas temu obiecał sobie, że po smutnych przejściach z Natalie z nikim się już nie zwiąże, nikomu nie ofiaruje swojego serca.

Nigdy.

Poza tym on nie był kimś, kogo Jane potrzebowała. Biorąc pod uwagę to, co opowiedziała mu o swojej rodzinie, pragnęła kogoś, kto zostanie przy niej w jednym miejscu. Kto nie polecą we wtorek na Islandię, by środę spędzić w Oklahomie, zapamiętając ścigając anomalie pogodowe.

Rozsądnym rozwiązaniem byłoby wstanie po

cichu z łóżka, zimny prysznic, ubranie się i popracowanie do momentu, aż Jane się obudzi. Później śniadanie i pomachanie sobie na pożegnanie. Innymi słowy, pożycie się jej ze swojego życia, które wróciłoby do normy.

Jednak nie potrafił się od niej oderwać. Jej skulone ciało idealnie pasowało do jego ciała.

Więc leżał bez ruchu, w ciszy, z ręką obejmującą jej talię. Wdychał zapach włosów, czuł miękkość skóry, ciepło ciała. Aż wreszcie się poruszyła.

- Dzień dobry - przywitał ją ciepłym głosem.

- Dzień dobry.

Wpatrywał się w jej twarz, ale nie dostrzegł dziwnego spojrzenia, żadnej nadziei w jej oczach, że on zmieni swoje postanowienia i poprosi, by z nim została na zawsze.

Czuł, że Jane Redmond jest kobietą szanującą dane komuś słowo. Jeden dzień i koniec.

- Wyspałaś się? - zapytał.

- Jako tako - odparła wesoło. Tak naprawdę to zbyt długo nie spali... -  
Która godzina?

- Dochodzi siódma.

- Komu w drogę, temu buty. Muszę jechać do domu i przebrać się do pracy. - Usiadła na łóżku.

Mitch zdziwił się, że zasłania piersi kołdrą. Nieśmiałość? Biorąc pod uwagę, co się tu działo jeszcze niedawno...

- Wyślę szefowej SMS-a, że trochę się spóźnię. Podasz mi torebkę? - Gdy spełnił prośbę, wyjęła komórkę. - O nie!

- Co się stało?

- Zapomniałam, że wyłączyłam komórkę po tym, jak zrobiłam ci zdjęcie.

- Po chwili odezwało się mnóstwo sygnałów otrzymanych wiadomości tekstowych i głosowych. - Większość od moich przyjaciółek. Powinnam do nich wczoraj zadzwonić i powiedzieć, że nie wracam na noc.

Nacisnęła szybkie wybieranie i w słuchawce odezwał się głos jej współlokatorki, która mówiła tak głośno, że Mitch wszystko słyszał:

- Jane? Wszystko z tobą w porządku?

- Jak najbardziej, Charlie,

- To gdzie ty, do jasnej cholery, się podziewasz?

- Na Harley Street.

- O mój Boże! Jesteś u lekarza? Coś ci się stało?

- Wyluzuj, Charlie. Nie jestem u żadnego lekarza. Jestem za młoda na botox. Powiedzmy, że jestem u przyjaciela. Nie martw się o mnie. Nic mi się złego nie stało. - Głos w słuchawce przycichł, więc Mitch nie słyszał już słów Charlie. - Dzwoniłaś do Stelli? Po co? No tak, nie powiedziałam wam, że biorę wolny dzień, bo chciałybyście wiedzieć dlaczego...

Myślałam, że zapomnieliście... Tak, wiem, że nie jesteście moimi rodzicami. Wiem, że jesteście moimi najlepszymi przyjaciółmi i nigdy nie zapomnieliście o czymś tak dla mnie ważnym jak moje dwudzieste piąte urodziny. Ale Charlie... ty, Hannah i Shelley miałyście ostatnio tyle stresu i zmartwień, że chciałam zaoszczędzić wam urodzinowego zamieszania. Poważnie myślałam, że

byłyście tak zajęte, że mogłyście zapomnieć o moich urodzinach i nie chciałam wam przypominać, żebyście potem nie miały wyrzutów sumienia. Posłuchaj, zdecydowałam, że w urodziny zrobię coś... - Jane spłonila się cała, a Mitch wyszczerzył zęby w uśmiechu - co zawsze chciałam zrobić, czyli wejść na taras widokowy Pomnika Wielkiego Pożaru, stanąć na południku zerowym i wypić herbatkę w Ritzu.... Co zrobiłyście? Charlie, bardzo przepraszam. Skąd mogłam wiedzieć? Tak mi przykro, że zepsułam wam niespodziankę. - Mitch podał jej kubek z kawą, podziękowała mu skinieniem głowy. - To musiało być cudowne. Przepraszam, przepraszam, przepraszam. Gdybym tylko wiedziała... No dobrze. Mhm. No to cześć. - Wrzuciła telefon do torebki.

- No i co się tam działo? - zapytał Mitch.

- Moje współlokatorki bały się o mnie, bo zwykle jestem... hm... raczej przewidywalna. Więc gdy wczoraj zniknęłam i nie powiedziałam, że nie wrócę do domu... Charlie zadzwoniła do mojej szefowej i dowiedziała się, że wzięłam dzień wolnego, ale im nie zostawiłam żadnej wiadomości. Generalnie miałam zamiar wrócić do domu, zanim wszyscy wróciliby z pracy. No i zapomniałam włączyć telefon, więc nie mogłam odpowiedzieć na SMS-y. Hannah obdzwoniła wszystkie izby przyjęć w każdym londyńskim szpitalu, by sprawdzić, czy nie miałam wypadku. Shelley zadzwoniła nawet na policji, ale do dziś nie mogłabym być jeszcze uznana za osobę zaginioną. No i mam jakąś setkę innych wiadomości. Na

koniec dowiedziałam się, że przygotowali dla mnie imprezę niespodziankę.

- O rany... Więc jednak nie zapomnieli o twoich urodzinach.

- Nie, i czuję się z tego powodu okropnie. W tajemnicy szykowali imprezę w pubie, nawet wynajęli osobną salę. Chłopak Charlie, Luke, miał grać na żywo ze swoim zespołem, mama Hannah upiekła ciasta, przygotowali przekąski, zaprosili mnóstwo znajomych, nakupowali prezentów, a ja po prostu się nie pojawiłam. Charlie, Hannah i Shelley okropnie się przestraszyły. O matko, gdybym tylko do nich zadzwoniła wieczorem, że nie przyjdę...

- Nie musisz tak bardzo się tym przejmować.

- Muszę! Tak bardzo się starali, a ja zepsułam im całą zabawę.

- Ale to oni udawali, że nie pamiętają o twoich urodzinach. Mogli powiedzieć, że zabierają cię na pizzę, i przyprowadzić do pubu na imprezę, żebyś nie musiała przez cały dzień smuć się, że nikt o tobie nie pamiętał.

- Mimo to i tak zepsułam całą zabawę. Tak bardzo się starali. Wiedzieli, że nie miałam osiemnastki ani imprezy na dwudzieste pierwsze urodziny, więc dwudzieste piąte planowali od kilku miesięcy.

- To nie twoja wina. Przecież nie czytasz w ludzkich umysłach. -

Pogłaskał ją po policzku. - Jane, bez wyrzutów sumienia. Tak się wczoraj umówiliśmy, pamiętasz?



- Tak. Bez wyrzutów. - Westchnęła głęboko.
  - Muszę lecieć, bo się spóźnię do pracy. - Oddała mu kubek. - A ty musisz spotkać się z agentem i dowiedzieć, co działo się na wczorajszym spotkaniu.
  - I bez poczucia winy.
  - Absolutnie. Hm... czy mógłbyś...? - Gestem poprosiła, żeby się odwrócił.
  - Poczekaj. - Wstał i przyniósł jej szlafrok z łazienki.
  - Dziękuję. - Sięgnęła do torebki po świeżą bieliznę, którą wczoraj kupiła wraz z sukienką.
  - To zrobię nam śniadanko? - zaproponował.
  - Dzięki, nie jadam śniadań.
- Gdy poszła do łazienki, Mitch włożył dżinsy i T-shirt, schował pościel i złożył łóżko z powrotem w sofę, zanim zdążyła wrócić.
- Przynajmniej napij się kawy przed wyjściem
  - zaoferował, zupełnie nie rozumiejąc, dlaczego próbuje ją zatrzymać.
  - I tak już będę spóźniona, więc pewnie dodatkowe pięć minut mnie nie zbawi. - Uśmiechnęła się do niego figlarnie. - I jestem o wiele miłszą osobą, gdy napakuję się kofeiną.
- Już miał powiedzieć, że podoba mu się nawet bez kofeiny, ale ugryzł się w język. To zabrzmiałoby jak oferta.
- Naprawdę nie chcesz nic do jedzenia? W lodówce mam owoce i różne cuda. Rozumiesz, Harry.
  - Jednym słowem. Agent niańka.

- W sezonie burz i huraganów żywię się zwykłym jedzeniem z fast foodów. Uwielbiam amerykańskie śniadanie z naleśników polanych syropem klonowym. Harry gani mnie za przesadzanie z węglowodanami, więc kupuje mi owoce i jogurt, żeby zbilansować moją dietę, gdy jestem tutaj. - Otworzył lodówkę. - Nektarynki, truskawki i jagody. A na blacie stoi misa z jabłkami i bananami. Z pewnością nie zdołam tego wszystkiego zjeść przed wyjazdem. Mogłabyś mi pomóc.

- Dzisiaj wyjeżdżasz z Londynu?

- Nie. Zostanę jeszcze parę dni. Potem muszę się spotkać z kilkoma ludźmi w kraju. - Ze swoją rodziną. Ale ona nie musiała o tym wiedzieć. - Później lecę do Stanów.

- Ścigać burze.

- Ścigać burze.

Wyjął owoce z lodówki, umył je i pokroił na kawałeczki. Rozłożył do dwóch miseczek, zalał jogurtem i posypał nasionami słonecznika.

Jane uśmiechnęła się, gdy postawił przed nią miseczkę.

- Jesteś nieźle wyszkolony z przyrządzaniu zdrowych śniadań.

- Harry to straszna maruda, jak każda troskliwa niańka.

Po śniadaniu przyszedł czas na pożegnanie.

- Dziękuję ci za wczorajszy dzień. Sprawiliś, że moje urodziny były bardzo szczególne.

- Cała przyjemność po mojej stronie.

- Powodzenia z wystawą.

- Dzięki, powodzenia ze współlokatorkami.

- Wszystkiego najlepszego, Mitch. - Pocałowała go w policzek.

Drzwi zamknęły się za nią z lekkim kliknięciem.

Powinien poczuć odprężenie. Tego pragnął. Żadnych łez, żadnych związków. Wszystko miało wrócić do normalności.

Tylko dlaczego poczuł się tak, jakby słońce schowało się za chmurami?

- Nie bądź mięczkiem - mruknął. - Staraj się lubić swoje życie takim, jakie jest. - Na kilka dni musiał wyskoczyć do Sussex. A potem wróci do tego, co naprawdę kochał. I do miejsca, gdzie czuł się bezpiecznie.

Do Alei Tajfunów.

Tego wieczoru, po przywitaniu przez współlokatorki, Jane została usadzona na krześle w kuchni i oficjalnie przesłuchana.

- Co to za przyjaciel, u którego nocowałaś? - zapytała Charlie, kierując na nią światło lampy biurkowej, którą specjalnie przyniosła i postawiła na stole kuchennym.

Jane machnęła ręką, jakby odmawiała zeznań.

- Wiemy, że to facet, bo masz to w oczach - stwierdziła Hannah.

- Co mam w oczach?

- To, że minionej nocy miałaś i dobry seks, i dużo seksu - odparła Charlie.

- i skrywałaś to przed nami.

Masz tajemniczego kochanka, co? I uciekłaś z domu, żeby się z nim spotkać?

- Dajcie spokój. - Jane zaczerwieniła się.

- Takie rumieńce na twarzy wyraźnie świadczą, że spędziłaś noc z facetem i mieliście zabójczy seks!

- Shelley otworzyła butelkę wina i rozlała do czterech kieliszków. - No dobra, Omnibusko, mów prawdę, całą prawdę i tylko prawdę! Musimy wszystko wiedzieć.

191

- Nie.

- Zamartwialiśmy się o ciebie potwornie, więc jesteś nam to winna - stwierdziła Charlie.

Jane upiła duży łyk wina.

- Okej. Pomyślałam, że zapomnieliście o moich urodzinach. Nie miałam zamiaru siedzieć w domu i się smucić, więc poszłam do centrum, żeby zrobić to, na co od dawna miałam ochotę. Przecież mówiłam już o tym przez telefon.

- Tak, wiemy, pomnik i herbatka w Ritzu. Ale teraz powiedz nam, co to za facet i gdzie go spotkałaś

- zażądała Charlie.

- Naprawdę muszę?

- Tak, musisz! - odparł chórek.

- Albo wsadzimy twój łeb w tort urodzinowy

- oświadczyła Shelley.

- Tego nie możemy zrobić. Moja mama obraziłaby się na nas na śmierć, że zmarnowaliśmy najlepszy tort, jaki potrafi przygotować - zaprotestowała Hannah.

- Tak, to byłaby wielka strata - zgodziła się Jane.

- Chcę ten tort.

- Więc nie masz wyboru i musisz nam wszystko opowiedzieć - zawyrokowała Shelley.
- Okej. Na pierwszym miejscu mojej listy było pocałowanie wysokiego, ciemnowłosego i przystojnego nieznajomego. I takiego właśnie zobaczyłam w South Bank.
- Jezu, rzuciłaś się na zupełnie obcego faceta?! - wykrzyknęła Hannah.
- Nie. Wymięklam. Zamiast tego zrobiłam mu zdjęcie, ale mnie na tym przy łapał. Poszliśmy na kawę i opowiedziałam mu o mojej liście, a on zaproponował, że się do mnie przyłączy.
- Charlie zmrużyła oczy.
- Co za człowiek może sobie wziąć wolny dzień, kiedy mu się tylko podoba?
- On pracuje na własny rachunek.
- I czym się zajmuje?
- Jest... łowcą burz.
- Kim?! - Shelley była totalnie zaskoczona.
- Ściga burze i tajfuny. Fotografuje ekstremalne warunki pogodowe.
- Huragany i inne takie? Rany, to poszukiwacz emocji, jeden z tych, co nie mogą żyć bez specjalnych wrażeń. Poszłaś na randkę ze świrem? - Hannah oskarżycielsko wyciągnęła palec.
- On nie jest żadnym świrem. Przeciwnie, jest niezwykle miły.
- A także wysoki, ciemnowłosy i przystojny - dodała Charlie. - Jak przystojny?
- Bardzo.

- Precyzyjniej. Ile byś dała między jeden a dziesięć na skali przystojności?
- Dziesięć i pół.
- Gdzie jest ta fotka? - nalegała Charlie.
- Zaraz.... - Jane wyciągnęła komórkę i odszukała zdjęcie. - Proszę. Charlie gwizdnęła.
- Zdecydowanie dziesięć i pół.
- Będiesz się z nim spotykać? - dopytywała się Shelley.
- Nie. To była znajomość na jeden dzień.
- I noc - uzupełniła Hannah.
- Więc chcesz nam powiedzieć, że ty, jedyna rozsądna osoba w tym domu, urządziłaś sobie jednodniową randkę i spędziłaś noc z absolutnie nieznanym facetem? - zapytała Charlie.
- Przecież nie jestem nastolatką, która musi się ze wszystkiego tłumaczyć i wracać do domu przed dziesiątą.
- Ty w ogóle nie wróciłaś do domu - oznajmiła Charlie, szczerząc zęby.
- A my tak się o ciebie martwiłyśmy. Nie możesz zostawać u kogoś na noc, nie mówiąc nam, co się z tobą dzieje - tłumaczyła jej Shelley.
- Szczególnie że to był zupełnie obcy mężczyzna - surowo dodała Hannah. - Mogłaś napytać sobie biedy.
- Moja intuicja nie zwietrzyła żadnych kłopotów.
- Jane, skarbie, twoja intuicja jest do du... - Shelley zasłoniła dłonią usta. - Wyrażę to innymi słowami.

Nie jesteś taka bystra w tych sprawach jak nasza Charlie, więc nie powinnaś polegać na swoich przeczuciach.

- Czy morderca zabijający ofiary siekierą zaprosiłby mnie do ekskluzywnej restauracji?

- Może, jeśli jest bogaty. A może miał sfalszowane karty kredytowe - sugerowała Hannah. - Może nawet sklonował twoje karty i na następnym wyciągu okaże się, że ktoś pobrał w azjatyckim banku z twojego konta kilka tysięcy funtów.

- Nie świruj - odezwała się wystraszona Jane.

- Moja koleżanka tak miała, Na szczęście zadzwonili do niej z banku, gdy po raz trzeci odbył się dziwny ruch na jej karcie.

- On nie jest oszustem.

- Jakżeby inaczej. To prawdziwy dżentelmen, który uwodzi kobiety na jedną noc - rzuciła złośliwie Charlie.

- Tak się umówiliśmy. Ja nie szukam związku, no, chyba że ten facet jak z Hollywood da mi pierścionek zaręczynowy - odparła Jane z uśmiechem.

- To się na pewno nie zdarzy. - Charlie machnęła ręką.

- Był dobry w łóżku? - ciągnęła przesłuchanie Hannah.

- Nie podam żadnych szczegółów na ten temat.

- Wszystko nam popsulaś, Jane. - Charlie zmarszczyła nos. - Poważnie. Wczoraj było nam bardzo smutno. Jak mogłaś pomyśleć, że zapomnialiśmy o twoich urodzinach? I przykro mi jest nawet myśleć

o tym, że spędziłaś cały dzień w przekonaniu, że nikt cię nie kocha. A przecież wszystkie kochamy cię do szaleństwa.

- Wiem. Ja po prostu... Przepraszam, że zepsułam . niespodziankę. I kupiłam dla was czekoladki na przeprosiny.

- Nie potrzebujemy żadnych czekoladek - odpowiedziała Hannah. - Najważniejsze, że nie stało ci się nic złego.

- Nie, nie, nie - wtrąciła się Shelley. - To był dla mnie okropny dzień. Nie powiem nie na czekoladki.

- Charlie, wyłącz tę lampę. Przesłuchanie skończone - poprosiła Hannah.

- No to jak udały się twoje urodziny?

- Świetnie. - Rozanielona Jane uśmiechnęła się szelmowsko.

- Więc musiałaś mieć orgazm - podpuszczała ją Charlie.

- Przesłuchanie skończone - przypomniała Jane. - Lampa zgaszona, a ty chcesz nadal torturować mnie wizją tortu, czy może wreszcie dasz mi prawdziwy kawałek?

- Deser przed kolacją? - zapytała zdziwiona Shelley.

- Biorąc pod uwagę, że ty jesz czekoladę na śniadanie, to ja mam prawo do zjedzenia kawałka tortu urodzinowego.

- Dobrze, już dobrze.

Hannah ukroiła cztery wielkie porcje.



- Mmm, przepyszny - stwierdziła Jane. - Hannah, twoja mama robi najlepszy tort czekoladowy na świecie!

- Pozostaje jedynie pytanie: czy czekolada jest lepsza od seksu? - zapytała Charlie.

- To zależy, ale nie powiem. Nie miało już być więcej pytań.

- No dobra, to będzie już ostatnie. - Hannah przytuliła Jane. - Bo to ważna sprawa. Jeśli chcesz się kochać z nieznanym, to lepiej, żeby to było coś warte. I proszę, upewnij mnie, że byłaś rozsądna.

Jane wywróciła oczami.

- Hannah, jesteś pielęgniarzką, która zbyt wiele czasu spędza przy nastolatkach. Cały czas nam marudzisz, żeby nosić w torebce prezerwatywy, bo nigdy nie wiadomo, jakie los szykuje nam niespodzianki. Odpowiedź brzmi: tak. Używaliśmy prezerwatyw. - I to wielu, dodała w myślach.

- Świetnie. - Shelley uśmiechnęła się. - Skoro jesz tort przed kolacją, to może masz też ochotę na przekąski?

Oczy Jane zabłyszczały.

- Jasne! Bałam się, że nigdy mi ich nie zaproponujesz.

Jane mieszkała w Old Isleworth z trzema cudownymi współlokatorkami, które troszczyły się o siebie wzajemnie, dzieliły się troskami i radościami, a także obdarzały ciepłem miłości. Życie nie mogło już być piękniejsze.

**197**

No, może i byłoby, gdyby Mitch Holland był gdzieś w pobliżu. Ale przecież uzgodnili, że nie szukają stałego związku. Zabawią się w urodziny Jane i pozostaną zadowolonymi z życia singlami.

## **ROZDZIAŁ PIĄTY**

Minęły już trzy tygodnie, odkąd spędzili z sobą noc, a Jane ciągle myślała o Mitchu. Jakaż była żalosna.

Gdyby chciał się z nią ponownie spotkać, to na pewno by ją odszukał.

Przecież nie byłoby to trudne. Wiedział, czym Jane zajmuje się zawodowo, i że pracowała przy organizacji wystawy o piratach. Kilka telefonów i po sprawie. To, że nawet nie spróbował, świadczyło dobitnie, że Jane szybciej wyjdzie za swojego ulubionego aktora, niż kiedykolwiek jeszcze zobaczy Mitcha Hollanda. Więc powinna wyrzucić go z głowy.

I może ta wczoraj zjedzona kanapka z krewetkami i majonezem nie była najlepszym pomysłem, bo Jane czuła dziwne mdłości.

Dwa dni później nadal czuła się niewyraźnie. Podczas śniadania Hannah odciągnęła ją na bok.

- Nie wyglądasz najlepiej. Masz szarozieloną twarz, więc mów, co się stało?

- Nic, tylko ta kanapka z krewetkami musiała mi zaszkodzić.

- Wczoraj?

**199**

- Nie, trzy dni temu.

- Zatrucie żołądkowe zwykle trwa dwa dni. Czy czujesz, jakby ci coś uciskało jelita?

- Nie.

Przyłożyła dłoń do czoła Jane.

- Temperatura w porządku. Masz jeszcze inne dolegliwości?

- Ogólnie czuję się kiepsko. I wydaje mi się, że w kuchni pachnie jakoś dziwnie. Ale to pewnie ta kanapka z krewetkami.

- Wymiotowałaś?

- Nie.

- Czy siusiasz częściej niż zwykle?

- No... może trochę. A dlaczego o to pytasz?

- Nie zastanawiałaś się nad tym, że możesz być w ciąży?

Jane wywróciła oczami.

- Nie żartuj sobie ze mnie. Oczywiście, że nie jestem w ciąży.

Używaliśmy prezerwatyw.

- Żadne środki antykoncepcyjne nie dają stuprocentowej pewności, oczywiście oprócz wstrzeźliwości. Zawsze istnieje ryzyko zajścia w ciążę, nawet przy stosowaniu prezerwatyw, które mogą się przerwać albo nasienie wyleje się podczas wyjmowania. A do zapłodnienia wystarczy zaledwie kropelka spermy.

- O mój Boże! - Jane zasłoniła twarz. - Nie mogę być w ciąży.

- Kiedy miałaś okres?

Poczuła lodowate ciarki, gdy liczyła tygodnie.

## 200

- Pięć tygodni temu. O rany! Spóźnia się!
  - Okej. Byłaś zapracowana, stres czasami tak działa. Może być zresztą wiele powodów. Ale dziś musisz kupić test ciążowy. Po prostu sprawdź.
  - Hannah, proszę cię, na razie nie mów o tym nikomu, dobrze?
  - Oczywiście. Jane objęła ją.
  - Dzięki za wszystko.
  - To prawdopodobnie fałszywy alarm, ale lepiej się upewnić.
- Tego ranka Jane nie potrafiła się skoncentrować na pracy. Wreszcie w porze lunchu poszła do odległej apteki, w której nigdy dotąd nie była, i kupiła test ciążowy. Nie zdołała się zmusić, by przeprowadzić go w biurze. Czekał na nią całe popołudnie w głębi szuflady.
- Nadszedł czas powrotu do domu, czas poznania prawdy.
- I co? Zrobiłaś test? - zapytała ją Hannah w domu.
  - Jeszcze nie. Ale mam go.
  - Oszczędzę ci czytania instrukcji. Zdejmujesz jedno wieczko i siusiasz na koniec próbnika. Niebieska kreska w okienku oznacza, że test został wykonany poprawnie. Jeśli drugie okienko jest czyste, to znaczy, że nie jesteś w ciąży, lecz jeśli pojawi się tam niebieska kreska, nawet ledwie widoczna, to jesteś w ciąży.
  - No dobrze...

## 201

- Nie marudź, tylko idź do łazienki, a ja zrobię ci gorącej wody z cytryną. Jeśli masz niestrawność, to ci pomoże.

Jane wróciła do kuchni po trzech minutach z próbnikiem w dłoni. Bez słowa wręczyła go przyjaciółce.

- Dwie linie. - Hannah przytuliła Jane. - To wyjaśnia wszystko.

- To... to niemożliwe. I co ja teraz zrobię?

- Jesteś w szoku, ale nie ty pierwsza ani nie ostatnia masz niechcianą ciążę. Nie musisz jeszcze podejmować żadnych decyzji, bo jest wcześnie, ale koniecznie pogadaj ze swoim łowcą burz. Masz jego numer telefonu? Jakaś wizytówkę?

- Nie... To miała być tylko jedna noc. Nie chcieliśmy się wiązać.

- Okej. Więc nie możesz oczekiwać zbyt wiele wsparcia od tego gościa. Ale to też nie problem, bo masz i rodzinę, i nas. Charlie, Shelley i ja zawsze będziemy cię wspierać. Jednak musisz porozmawiać z tym swoim łowcą przed podjęciem jakiegokolwiek decyzji. Posłuchaj mnie uważnie. Spotkałam wiele kobiet, które zaszły przypadkowo w ciążę, nie rozmawiały z ojcem przed podjęciem decyzji, a potem nie mogły zwalczyć poczucia winy. Musisz poznać jego zdanie.

- Nawet nie wiem, jak się z nim skontaktować.

- Rany, Jane! Pomagasz ludziom odnaleźć przodków, to nie znajdziesz kogoś żywego? Pamiętaj też, że mamy tajną broń. Charlie.

## 202

Jakby wiedziała, że o niej mowa, Charlie pojawiła się w kuchni.

- Gadacie o mnie?

- Jeszcze nie - odpowiedziała Hannah z szerokim uśmiechem.

Charlie rzuciła okiem na ich kubki.

- Woda z cytryną? Nie mówi mi, Jane, że jesteś na detoksie.

- Nie do końca - mruknęła Jane.

- Co jest grane? Jane podała jej tester.

- O Matyldo! - Charlie osłupiała. - I co teraz?

- Nie wiem. Jeszcze to do mnie nie dotarło.

- Musisz z nim pogadać - poradziła Charlie.

- Hannah powiedziała to samo, ale nie wiem, jak się z nim skontaktować.

- Jasne, że wiesz. Hannah, ciążowe otepienie chyba nie dopada człowieka tak wcześnie?

- Skądże - odparła ze śmiechem.

- Pomyśl tylko, co będzie, jak uderzy w ciebie fala hormonów. Może wreszcie Jane-Omnibuska stanie się normalną dziewczyną.

- Wcale nie czuję się teraz szczególnie inteligentnie - oświadczyła Jane.

- To nie ma nic wspólnego z twoim umysłem ani z hormonami. To panika. Poczekajcie, zaraz się wszystkiego dowiemy. - Charlie wróciła kilka minut później z laptopem, położyła go na kuchennym stole i włączyła.

- Wrzucimy go w Google'a.

## 203

Jane uśmiechnęła się gorzko.

- Dlaczego ja na to nie wpadłam?
- Bo nadal jesteś w szoku - wyjaśniła Hannah.
- Jak on się nazywa? - zapytała Charlie.
- Mitch Holland.

Charlie wstukała nazwisko w wyszukiwarce i spojrzała na wyniki.

- Musimy zawęzić poszukiwania. Mówisz, że jest łowcą burz?
  - I fotografuje anomalie pogodowe. Obecnie przygotowuje się do wystawy swoich zdjęć.
  - No widzisz. Znajdziemy wystawę i znajdziemy naszego fotografa. Ta wystawa będzie w Londynie?
  - Nie wiem. Spotkanie odbyło się tutaj.
  - Okej. Zaczniemy od Londynu... - Charlie stuknęła w kilka klawiszy. - Bingo! Mamy go. Ktoś ma kartkę i długopis? Dzięki... - Zapisała nazwę galerii i godziny otwarcia wystawy.
  - O co tu chodzi? - zapytała Shelley, wchodząc do kuchni. - Sprawdzacie, co grają w kinach? Szykuje się babski wieczór filmowy?
- Jane opowiedziała jej wszystko.
- Moja mała Jane. - Shelley objęła ją ramionami i przytuliła. - Oczywiście, że musisz z nim porozmawiać. Pójdziemy razem.
  - Oczywiście. I jeśli nie będzie w stu procentach pozytywnie nastawiony do sprawy, to Shelley zrobi mu wykład, ja poćwiczę na nim sztuki walki, a Hannah opatrzy mu rany - dodała Charlie.



Jane uśmiechnęła się smutno do zdjęcia.

- To nieuczciwe otwierać przed nim bramy piekła. To nie jego wina.

- I nie twoja - stwierdziła Hannah. - Albo inaczej: żeby zrobić dziecko, trzeba dwojga.

- Pamiętaj, potrzebujesz od nas wsparcia moralnego - dodała Shelley.

- Jeśli tak się tego boisz, to wtopimy się w tło, gdy go zobaczysz, ale i tak z tobą pójdziemy - oświadczyła Charlie.

- Nie ma takiej potrzeby. Dam sobie radę.

- Nie kłóć się. Przynajmniej jedna z nas musi z tobą pójść. To postanowione. - Charlie wyjęła monetę z torebki. - Hannah, orzeł czy reszka?

- Orzeł.

Charlie rzuciła monetą.

- Reszka. Wygrałam. A ty, Shelley?

- Reszka.

Charlie rzuciła drugi raz.

- Orzeł. Czyli znowu wygrałam. Więc to ja z tobą idę, Jane.

- Czy to te fotografie? - zapytała Shelley, spoglądając na monitor. - Świetne. Podoba mi się ta z błyskawicą.

- A widziałaś zdjęcie tornada? Niezwykłe - wtrąciła Charlie. - Że też on nie boi się być tak blisko burzy. - Przeszła na następną stronę witryny, na której było zdjęcie Mitcha.

Najwyraźniej właśnie wrócił z wyprawy, bo miał na sobie stare dzinsy, także T-shirt i skórzaną kurtkę.

## 205

Na twarzy miał zarost, ale ten uśmiech... I wyglądał niezwykle seksownie. Jane aż zadrżała.

- I jak, do licha, mam mu niby przekazać tę wiadomość?

- Chłodno, spokojnie i profesjonalnie. Tak jak przekazujesz informacje w pracy ludziom, którzy dowiedzieli się czegoś niekorzystnego o swojej rodzinie - doradziła Shelley.

- Pójdziemy jutro - zawyrokowała Charlie. - Jest sobota, więc damy radę. Wcześniej zjemy lunch, by się wzmocnić.

- Bo oczywiście nie ma najmniejszej szansy, żeby Charlie wstała na śniadanie w sobotę - wtrąciła uszczypliwie Shelley.

- Jeśli będę musiała, to wstanę. Ale pora lunchu to dobra pora. Pójdziemy pogadać z tym twoim łowcą burz. Będę blisko ciebie. Jeśli podniesiesz mały palec, to będzie oznaczać kłopoty i pośpieszę z pomocą.

- Dziękuję wam wszystkim. - Jane rozplakała się żałośnie.

Hannah otuliła ją ramieniem.

- Typowe działanie hormonów. Ale nie martw się, Jane, wszystko będzie dobrze.

Nie była wcale tego taka pewna. Jedno tylko wiedziała - nie mogła zachować się jak tchórz. Co oznaczało, że porozmawia z Mitchem.

Następnego dnia po południu, po lunchu, Jane i Charlie poszły na wystawę.

Niestety nie dostrzegły nigdzie Mitcha, ale Jane

nie była tym wcale zdziwiona, bo wiedziała, że nie cierpiał zamkniętych przestrzeni. Poza tym był weekend i pewnie miał ciekawsze rzeczy do roboty. Może wyjechał na wieś. Może gonił za burzami i wichurami.

- Jeśli tu go nie ma, to musimy znaleźć agenta naszego łowcy. Znasz może jego nazwisko? - zapytała Charlie.

- Tylko imię. Harry.

- Powinno wystarczyć. Zapytamy w recepcji wystawy.

Charlie energicznie ruszyła w stronę lady, ciągnąc za sobą Jane.

- Przepraszam. Czy może pani nam powiedzieć, gdzie możemy znaleźć Harry'ego, agenta pana Hollanda? - zapytała uprzejmie Jane.

- Tam. - Dziewczyna z uśmiechem wskazała grupkę stojącą przed zdjęciem tęczą nad kanionem.

- Czuję się bardzo skrępowana - cicho powiedziała Jane. - Podniosę mały palec, gdy się zatnę, dobrze, Charlie?

- Pójdę z tobą, jeśli chcesz.

- Dzięki, ale najpierw spróbuję sama. Po chwili spytała:

- Przepraszam, że przeszkadzam, który z panów ma na imię Harry?

- To ja.

Jane aż mrugnęła ze zdziwienia. Z napomknięć Mitcha można było wywnioskować, że Harry jest starszym facetem, do tego gejem. A już na pewno nie

był modnie uczesaną blondynką koło trzydziestki, ubraną w biznesowy kostium.

- W czym mogę pani pomóc? - zapytała Harry.

- Czy moglibyśmy zamienić słowo na osobności? Harry zmierzyła Jane z góry na dół i skinęła głową.

- Co mogę dla pani zrobić?

- Gdy Mitch opowiadał mi o swoim agencie o imieniu Harry, nie sądziłam, że...

- Spodziewała się pani mężczyzny - dokończyła za nią. - To zdrobnienie od Harriet. Więc to pani jest powodem, dla którego nie wrócił na spotkanie w zeszłym tygodniu?

- Opowiadał pani o mnie?

- Kto lepiej zna Mitcha, ten wie, że nie to jest ważne, o czym mówi, ale to, o czym nie mówi.

- Muszę z nim porozmawiać.

- Może ja jednak w czymś pomogę?

- To sprawa osobista.

- Osobista - powtórzyła Harry sucho.

- Proszę mnie źle nie zrozumieć. Nie jestem osobą, która mu się narzuca. Po prostu muszę z nim porozmawiać w osobistej sprawie. Najlepiej twarzą w twarz. Czy jest jeszcze w kraju?

- Może jest, może nie.

- Oczywiście rozumiem, że chroni pani jego interesy, ale jest coś, o czym musi się dowiedzieć bezpośrednio ode mnie.

Harry zmarszczyła brwi. Jane podała jej wizytówkę.

## 208

- Może mnie pani sprawdzić. Ale proszę poprosić Mitcha, żeby do mnie zadzwonił. To naprawdę bardzo ważne.

- Proszę dopisać na wizytówce swój numer domowy i komórkowy. Może uda się to załatwić.

Jane zmusiła się do uśmiechu, podziękowała i wróciła do Charlie.

- I jak poszło?

- Muszę czekać.

- To przynajmniej poukładasz sobie wszystko w głowie. A skoro już tu jesteśmy, obejrzymy jego zdjęcia.

Fotografie były niezwykle piękne; miały w sobie mnóstwo energii, zupełnie jak Mitch, który tak jak jej rodzice i brat żyli w ciągłym ruchu. Tak jak oni włączyli się od wykopalisk do wykopalisk, z jednego odczytu naukowego na drugi, tak Mitch przenosił się z miejsca na miejsce, ścigając burze i wichury.

Jane nie wyobrażała sobie, że mogłaby w taki sposób spędzić życie.

W tej chwili jednak niczego nie zakładała. Miała jedynie nadzieję, że Mitch do niej zadzwoni.

W następny wtorek zadzwoniła komórka. Spojrzała na wyświetlacz, ale nie rozpoznała numeru. Czy to mógł być Mitch?

- Halo?

- Cześć, Jane. Mówi Mitch. Harry dała mi twój numer. To o czym chcesz ze mną rozmawiać?

- Musimy porozmawiać osobiście.
- Dlaczego?
- Bo to jest... bardzo poważna sprawa. Możemy się spotkać?
- Kiedy?
- Jutro?
- Dobrze, ale wieczorem. Wpół do szóstej?
- Świetnie. A gdzie ci będzie odpowiadało?
- Gdzieś pośrodku między nami... niech pomyślę... przy South Kensington. Ale nie na stacji metra, bo się nie znajdziemy. Najlepiej na schodach do Muzeum Historii Naturalnej.

Był oszczędny w słowach. Nie zapytał nawet, co u niej słyhać.

Zachowywał się znowu jak kompletnie obcy nieznajomy, którego bała się pocałować przy South Bank, a nie jak facet, który rozśmieszał ją podczas wycieczki po Londynie i sprawił, że zobaczyła gwiazdy, gdy się kochali.

- Okej - odpowiedziała Jane, wiedząc, że wcale nie będzie okej.

Następnego dnia podczas podróży metrem Jane popijała wodę mineralną małymi łydkami, by opanować nerwy. Serce biło jej jak szalone.

Obawiała się konfrontacji z Mitchem. Gdy wyszła z metra, dostrzegła go na schodach muzeum. Wyglądał tak cudownie, jakim go zapamiętała.

Żeby tylko nie spełniły się moje obawy, pomyślała.

Mitch zauważył, że Jane nie miała uśmiechu na twarzy. Z daleka jedynie podniosła na powitanie

rękę. Miał przeczucie, że nie bardzo spodoba mu się to, co zamierzała mu powiedzieć.

Podszedł do niej, podali sobie ręce, ale pocałunek nie za bardzo pasował, więc Mitch wsunął ręce do kieszeni i rzucił zdawkowe:

- Cześć!

- Cześć!

Jane była zdenerwowana i blada.

- Usiądziemy? - Machnął ręką w stronę pobliskiej ławki.

- Jasne.

Siedzieli w ciszy. Jej stan podenerwowania zaczął mu się udzielać.

Postanowił przerwać ciszę.

- Więc co takiego chciałaś mi powiedzieć?

- Jestem w ciąży.

Poczuł, jakby czas stanął w miejscu.

Te słowa odbijały mu się echem po głowie głosem. „Jestem w ciąży”.

Tyle że innym głosem. Nie. Jane: „Będziemy mieli dziecko”.

Nie, nie, nie, nie.

To nie mogło dziać się naprawdę.

To tylko jakieś halucynacje.

- Możesz powtórzyć?

- Jestem w ciąży. - Jej głos lekko drżał.

- Niemożliwe... Po prostu niemożliwe.

- W zeszłym tygodniu zrobiłam test.

- Przecież byliśmy ostrożni. Używałem prezerwatyw.

- Hannah, moja współlokatorka, jest pielęgniarką

i dobrze wie, o czym mówi. Prezerwatywy są dosyć bezpieczne, ale tylko dosyć.

- Jeśli użyje się ich nieprawidłowo. Więc co mogło się stać?

- Nie mam pojęcia. - Załamała ręce w geście rozpacz.

- To wszystko chyba nie dzieje się naprawdę.

- Ja też nie skaczę z radości.

- Więc co planujesz teraz zrobić?

- Pomyślałam, że powinieneś o tym wiedzieć, zanim coś zdecyduję. Cóż, powinnam się cieszyć, że nie zapytałeś, czy jestem pewna, że to twoje dziecko.

Ta myśl nawet nie przeszła mu przez głowę. Ale skoro to poruszyła...

- A jest? - Gdy Jane podskoczyła, jakby ją uderzył, Mitch poczuł się okropnie. - Przepraszam, nie chciałem...

- Nie sypiam z byle kim... Wyczuł w jej głosie cierpienie.

Cholera jasna! Jej oczy zaczęły błyszczeć od łez. Mitch miał ciemne okulary, by nie mogła widzieć jego oczu i zadawnionego cierpienia.

- Przepraszam.

Nic nie odpowiedziała, ale ku jego uldze otarła dłonią oczy. Była w ciąży. Z nim.

Ta chwila powinna być pełna radości z nowo powstającego życia.

Ale on już to kiedyś przeżył.



I wtedy się nacierpiał.

I nigdy więcej nie chciał już tego samego przeżywać.

Nie zamierzał opowiadać o tym Jane. Nie miała z tym nic wspólnego, nie chciał jej w to mieszać, obciążać swoją przeszłością.

- Jeśli zdecydujesz się urodzić dziecko, to będę cię wspierał finansowo. - Tyle wystarczy, pomyślał. - Przekaż Harry numer swojego konta. Ona wszystkim się zajmie.

- I tym samym kończysz temat? Dla ciebie to tylko transakcja finansowa?

- Byłem z tobą uczciwy. Nie szukam związku. Zresztą i tak wkrótce wyjeżdżam. Nie ma sensu tego ciągnąć.

- Aha... Więc nie chcesz mieć nic wspólnego z dzieckiem?

Dziecko. Rany Boskie! Dziecko. Jego dziecko...

- Nie.

- Więc ja też nie chcę twoich pieniędzy. Do widzenia.

Jane zacisnęła usta, wstała i odeszła.

I było po wszystkim. Problem rozwiązany. Poza tym, że tak naprawdę nie był wcale rozwiązany. Mitch wiedział, że fatalnie się zachował. Że ją zranił.

Ale czy miał inny wybór?

## ROZDZIAŁ SZÓSTY

- Co powiedział?! - rzuciła się Charlie. - To jest... to jest... -Otwierała i zamykała usta, nie mogąc znaleźć właściwego określenia.
- Pierwszy raz w życiu brakuje ci słów - odparła dziwnie spokojna Jane. - Spuśćmy za nim kurtynę. On nie jest tego wart.
- I co teraz zrobisz, Jane? - zapytała Shelley. - Wiesz, że zawsze będziemy przy tobie bez względu na decyzję, jaką podejmiesz.
- Cały czas o tym wszystkim myślę. Ciągłe zadaję sobie te same pytania. Mam dwadzieścia pięć lat, wymarzoną pracę i karierę przed sobą, lecz samotne wychowywanie dziecka nie będzie łatwe. - Zagryzła wargi. - Ale nie potrafię nawet myśleć o innym rozwiązaniu. Wcale nie potępiam ludzi, którzy wybierają to inne wyjście, bo też muszą mieć w sobie dużo siły i pewności, że to jedyna decyzja. Aleja tego nie wybiorę.
- Więc urodzisz dziecko? - zapytała Hannah.
- Tak. I wiem, że będę musiała znaleźć sobie inne mieszka...
- Zgłupiałaś do reszty? - przerwała jej Charlie.

- Trochę przemeblujemy, i wszystko. Nie będziesz się wyprowadzać tylko dlatego, że jesteś w ciąży. Poza tym łatwiej nam będzie opiekować się dzieckiem tutaj, niż jakbyśmy musiały jeździć gdzieś do zapyziałego, małego mieszkanka w odległej dzielnicy.

- A jeśli dziecko będzie płakało w nocy?

- Charlie potrafi przespać burzę z piorunami

- stwierdziła Shelley. - Ja mam pełno dzieci na boisku szkolnym, a Hannah jest przyzwyczajona do płaczu dzieci w przychodni. Damy sobie radę.

- Poza tym kilkumiesięczne dziecko zaczyna już sypiać przez całą noc - wyjaśniła Hannah.

- No wiesz... Dzieci są modnymi dodatkami. Możemy sobie czasem je od ciebie pożyczyć i udawać Smakowitą Mamuszkę - błaznowała Charlie.

- Zostajesz z nami, mała - zakończyła Hannah. Jane omal nie rozpląkała się z radości.

- Jesteście wspaniałe. A moje dziecko będzie miało trzy najwspanialsze matki chrzestne.

- Jako pielęgniarka zajmę się badaniami prenatalnymi - oświadczyła Hannah.

- Jako nauczycielka będę wybierać dziecku edukacyjne zabawki - wtrąciła Shelley.

- Jako królowa mody będę dbać o stroje maleństwa i wybiorę najmodniejszy wózeczek - dodała Charlie. - To mamy wszystko omówione. Teraz chyba czas na ciasteczko...

Pierwsze badanie prenatalne nie poszło tak źle,

jak się Jane spodziewała. Jej przyjaciółki były na medal, więc nie potrzebowała pomocy Mitcha Hollanda.

Mimo to poinformowała go o zbliżającym się badaniu. Oczywiście nie odpowiedział, czego zresztą Jane się spodziewała. Brakiem odpowiedzi potwierdził, że nie chce mieć z dzieckiem nic wspólnego.

- Może powinnaś jednak porozmawiać z tą Harry - doradziła Hannah. -  
Może ona przemówi mu do rozsądku.

- On nie podejmie żadnej odpowiedzialności. Nie ma sensu dodatkowo się przejmować. Dam sobie radę - odparła Jane.

Jednak kilka minut później, gdy lekarz rozprowadził żel po jej brzuchu, przytknął ultrasonograf i pokazał jej obraz dziecka na ekranie, w oczach Jane pojawiły się łzy.

- Moje dziecko - wyszeptała.

- Tu ma jedną rączkę, tu drugą, tu są nóżki, a tu kręgosłup - wyjaśniał z uśmiechem lekarz. - Wszystko jest na właściwym miejscu. Z pomiarów wynika, że ma już dwanaście tygodni. Poród nastąpi w drugim tygodniu stycznia. Czy chce pani zdjęcie płodu?

- O tak, proszę. Czy można dostać kilka odbitek?

- Oczywiście.

Jane wróciła do pracy. Podczas przerwy na lunch zeskanowała zdjęcie i przesłała je mejlem do Charlie na jej służbowy adres, a także na komórkę Shelley.

Czy powinna przesłać zdjęcie Mitchowi?

Natychmiast porzuciła ten pomysł. Przecież jasno określił swoje stanowisko.

Postanowiła podzielić się nowiną z rodzicami i bratem, jeśli oczywiście uda się ich złapać.

Trzy dni.

Minęły trzy dni od daty, kiedy Jane miała mieć zrobione badanie USG. Nie skontaktowała się z nim ponownie. Nie poinformowała, że wszystko jest okej.

Poczuł ból żołądka. Przecież nie powinien tak reagować. Porzucił ją, a ona stwierdziła, że nic od niego nie chce. Miał normalnie dalej pracować i żyć, a nie myśleć o dziecku.

Jednak zaczęły go dręczyć wspomnienia sprzed dwóch lat, gdy jego świat się zawalił. I nie potrafił pozbyć się strachu, że to samo może spotkać go znowu. Ze Jane - ta Jane, która pozwoliła mu zapomnieć o tym na jeden dzień i jedną noc...

Nie.

Nie mógł sobie z tym poradzić.

- Wszystko okej? - zapytał Brad, jeden z jego nowych kolegów, wsadzając głowę w otwarte okno półciężarówki.

- Jasne - skłamał.

- Nie wiem, czy może drzemałeś, czy co, ale próbowałem przełączyć kogoś do ciebie przez radio.

Czy to może jego matka, która chce przekazać tę samą wiadomość, którą przekazała dwa lata temu? Nie, to niemożliwe. Nawet nie słyszała o Jane.

217

Powinien wziąć się w garść i przestać mieć jakieś paranoiczne domysły. To, co przydarzyło się Natalie, było czymś niezwykle rzadkim. I nie oznaczało, że przydarzy się Jane.

Jednak strach i mdłości nie chciały odejść.

Myślał o Jane.

Czy coś się stało? Jej lub dziecku? W końcu wyciągnął komórkę i napisał krótkiego SMS-a:

***Jak poszło USG? Wszystko okej? M.*** Schował komórkę do kieszeni.

Pewnie Jane wkrótce odpisze.

Ale nie odpisała.

Gdy złapał się na tym, że patrzy na wyświetlacz po raz pięćdziesiąty, aż się skrzywił z niezadowolenia.

- Uspokój się, chłopie - powiedział do samego siebie. To oczywiste, że Jane nie mogła od razu odpisać. W Kansas była jedenasta przed południem, a w Londynie piąta po południu. Pewnie Jane była jeszcze w pracy. Odpowiedzi mógł się spodziewać najwcześniej o drugiej jego czasu.

Ale wybiła druga i telefon ani piknął.

Zrobiła się szósta. W Londynie była północ. Jane pewnie już śpi.

Może jego wiadomości nie przeszły?

Może powinien spróbować jeszcze raz?

A może nie?

Trzy godziny później złamał się i wysłał kolejną wiadomość tekstową.

Była trzecia rano jej czasu, więc nie dostanie odpowiedzi przed północą w Kansas.

Ale o północy skrzynka wiadomości przychodzących była pusta.

Całą noc czekał, podziewając tylko trochę.

Czy wszystko u niej w porządku?

Czy znowu powtórzył się koszmar z przeszłości?

Jane spojrzała na wyświetlacz telefonu. Dwie wiadomości od M. H.

Gdyby była tylko jedna wiadomość, pomyślałaby, że Mitch próbuje w jakiś sposób ratować swoje dobre imię. Zrozumiał, że zachował się jak totalny palant, ale pomyślał, że wysłanie SMS-a z pytaniem, jak się ona i dziecko czują, załatwi wszystko.

Ale druga wiadomość...

Tym razem wyglądało to tak, jakby naprawdę zależało mu na informacji, jakby martwił się o nią.

No tak, ale przed badaniem USG zupełnie nie zależało mu na kontakcie.

Ale może też był w jakimś miejscu, gdzie nie było zasięgu? Mimo najszerszych starań, by dać sobie z nim spokój, w sercu Jane tliła się iskierka nadziei. Może przemyślał to wszystko? Może pokonał w sobie chłód i tę dziwną gorzkość duszy, którą wyczuła szóstym zmysłem?

Może stać go na więcej niż tylko na pomoc finansową?

Jane nie odpisała natychmiast.

Bo skąd miała wiedzieć, czy znowu nie powieje od niego chłodem? Może powinna zignorować wiadomości, wykasować je? Ale w tym wszystkim nie

chodziło tylko o nią. Przecież dziecko też miało swoje prawa. Dlaczego miałyby odmawiać mu kontaktu z ojcem?

Myślała o tym cały ranek.

W końcu odpisała Mitchowi pod koniec przerwy na lunch.

Odezwał się budzik. Mitch natychmiast go uciszył i naciągnął kołdrę na głowę. Chciał spać dalej. Tyle że koledzy na niego czekali. Za godzinę mieli wyruszyć w trasę.

Wyczołgał się z łóżka. Krótki rzut oka na wyświetlacz telefonu i wiedział już, że Jane nie odpisała. A w Anglii pewnie już pora lunchu.

No to świetnie.

Nie miał innego wyjścia. Będzie musiał do niej zadzwonić, żeby się dowiedzieć, jak się czuje.

Ale nie od razu. Teraz potrzebował kawy. Zadzwoni do niej po południu.

Wziął prysznic, ubrał się i poszedł do baru przy motelu. Nawet naleśniki polane sporą dawką syropu klonowego nie poprawiły mu humoru.

Spakował się, wrzucił swoje rzeczy do vana i jeszcze raz spojrzął na wyświetlacz.

Nowa wiadomość.

Nie usłyszał nawet sygnału powiadomienia. Jak mógł go przegapić?

Pewnie był wtedy pod prysznicem. Nieważne.

Po chwili przeczytał:

***Wszystko okej. Poród w 2 tyg. lutego.***



Dowiedział się tego, czego chciał. Mógł przestać panikować.

Ale ona przesłała mu załącznik. Fotografię.

Wzrok Mitcha zaszedł mgłą, dłonie zaczęły drżeć. Nigdy wcześniej nie widział skanu USG. Koledzy pokazywali mu jedynie zdjęcia swoich żon w ciąży. Uprzejmie się wtedy uśmiechał, gratulował. I zmieniał ogniskową źrenic, żeby nie widzieć wyraźnie tych zdjęć - żeby inni nie dostrzegli w jego oczach cierpienia.

Tym razem było inaczej.

To było zdjęcie dziecka.

Jego dziecka.

- Wszystko z tobą okej, Mitch? - dopytywał się zaniepokojony Brad.

Nie.

- Tak. Ale kiepsko spałem.

Zmusił się do uśmiechu i zatrzasnął klapkę telefonu, zanim ktokolwiek mógł zobaczyć, co było na ekranie. Nie chciał wysłuchiwać żadnych pytań. Bo i tak nie znał na nie odpowiedzi.

W Anglii było wczesne popołudnie. Do Jane mógł zadzwonić dopiero po swoim lunchu, ale i tak nie miał gwarancji, czy odbierze telefon. Po tym, jak się zachował, nie mógłby jej za to winić. Zaryzykuje jednak, zadzwoni do niej jeszcze dziś.

Tyle że podczas lunchu gonili burzę i nie mógł zrobić sobie pauzy. A potem było za późno, bo ona pewnie już spała.

**221**

Zadzwoń do niej następnego dnia.

Nadeszła kolejna, bezsenna noc. Nie wiedział nawet, jak odpowiedzieć na wiadomość od Jane. Jak było to możliwe, że mógł czegoś tak bardzo chcieć i nie chcieć jednocześnie?

Dziecko.

Ich dziecko.

Ale jeśli będzie chciał się do niej zbliżyć, jeśli podejmie to ryzyko - to co się stanie, jeśli ją straci? Co będzie, jeśli okaże się, że jego koszmar stale powraca? A co się stanie, jeśli za trzy tygodnie dostanie wiadomość, która znowu roztrzaska to, co starał się zbudować?

Pogrążył się w pracy, by nie musieć o tym wszystkim myśleć. Na szczęście nie była to praca od dziewiętej do siedemnastej i mógł też pracować w weekendy.

Pod koniec drugiego dnia miał potężny ból głowy, ale nadal nie zadzwonił do Jane. Wyzywał się od tchórzy, ale i tak nie zadzwonił.

Bał się.

Kolejna kiepska noc i dzień w pracy. I kolejna.

I wtedy nacisnął niewłaściwy przycisk i zdelete-wał z laptopa efekt pracy całego poranka. I nie mógł tej pracy odtworzyć, bo nie zrobił backupu.

Kopanie w oponę pikapu w niczym nie pomogło. Jedynie zaboląły go palce.

- No dobrze - odezwał się Brad, przynosząc pączki i kawę. - Siadaj.

- Co?

- Wiem, że nie lubisz gadać. Cholerni Angole, wyniosłe dupki... Ale widzę, że coś cię dręczy od twojego powrotu z Anglii. Nie jesteś sobą. Więc albo z kimś o tym pogadasz, albo sam musisz pojechać i wszystko załatwić.

Mitch upił kawy.

- Dzięki, pyszna.

- I nie staraj się unikać tematu. Przecież nigdy nie kopałeś w opony pikapu. Więc co się stało?

- Skasowałem wszystkie dane z ranka. Brad wzruszył ramionami.

- To wejdź w backup. Straciłeś najwyżej parę godzin.

- Nie zrobiłem backupu.

- Co? Faktycznie coś się z tobą dzieje. Posłuchaj, jesteś szefem tego projektu, ale musisz wywalić z siebie to, co cię żre, bo paralizujesz naszą pracę. Wczoraj niewłaściwie odczytałeś dane o systemie pogodowym i spóźniliśmy się na tornado. Przedwczoraj źle ustawiłeś przesłonę w aparacie i wszystkie zdjęcia poszły się rąbać. Dzisiaj skasowałeś dane. Jutro wpieprzysz nas w serce burzy.

- Nie zrobiłbym czegoś tak głupiego. Wszystko w porządku, Brad... Po prostu ostatnio niezbyt dobrze sypiam.

- Porozmawiaj z nią.

- Z kim? - zapytał Mitch, udając idiotę.

- Z tą kobietą, o której ciągle myślisz. I nie udawaj, że nie ma żadnej kobiety. Widziałem i przeżyłem niejedno.

## 223

- To dość skomplikowane.
- Kobiety zawsze są skomplikowane.
- Zachowuję się jak skończony dureń - po chwili milczenia przyznał Mitch.
- Wobec niej czy nas?
- Jedno i drugie. I próbuję udawać, że nic się nie dzieje...
- Ta metoda nigdy nie działa. A gdy jeszcze zaczyna wpływać na twoją pracę, to już koniec...
- Tak. - Nadszedł czas, by przestać uciekać i stanąć twarzą w twarz z życiem. - Załatwię, żeby ktoś mnie zastąpił na tydzień. A gdy wrócę, wszystkie problemy będą już rozwiązane. - Miał jednak wrażenie, że łatwiej było powiedzieć, niż zrobić.

## ROZDZIAŁ SIÓDMY

W piątkowe popołudnie Jane wstała od biurka, zbierając się do domu. Przechodząc przez hol, stanęła jak wryta.

Nie. To chyba musiało się jej przywidzieć. Oczywiście ten ciemnowłosy facet w rogu holu nie mógł być Mitchem. Przecież nie ma go nawet w kraju.

I wtedy ją dostrzegł. Wstał i uśmiechnął się.

- Cześć, Jane.

- Co tutaj robisz?

- Przyjechałem się z tobą spotkać, bo... winien ci jestem przeprosiny. -

Zza pleców wyciągnął najpiękniejszy bukiet kwiatów, jaki kiedykolwiek widziała. Nie był ani przesadnie duży, zrobiony na pokaz, ani też malutki, kupiony byle gdzie. Był w sam raz.

Mrugnięciem przegoniła łązy wzruszenia.

- Dziękuję ci.

Oczywiście wręczenie bukietu nie oznaczało wcale, że przebaczone mu jego zachowanie. Jane nie cierpiała zmiennych nastrojów Mitcha, od żaru do totalnego chłodu. Nie lubiła nudy i przewidywalności, ale nie oznaczało to, że musi tolerować niepewność.

- Czy mogę zaprosić cię na kolację?

Co? Cały czas milczał, nie odpowiedział na SMS-a, nie chciał mieć nic wspólnego z dzieckiem - a teraz sobie myśli, że może nagle pojawić się w jej życiu, wręczyć kwiatki i zaprosić na kolację, jakby nic się nie stało? Już miała powiedzieć, dokąd może sobie pójść i gdzie może sobie wsadzić kwiaty, gdy dostrzegła ciemne półkola pod jego oczami.

Pewnie tak samo kiepsko sypiał jak ona.

Więc może jego przeprosiny były szczerze?

A może, kiedy pójdą na kolację, wreszcie się przed nią otworzy? Wyjaśni, co mu się kręci w głowie - bo do tej pory była to dla niej wielka tajemnica. Tyle że coś się kręciło, to wiedziała.

- Proszę - dodał miękkiem głosem.

- Dobrze, ale najpierw muszę zadzwonić do moich przyjaciółek, żeby się nie denerwowały, co się ze mną stało.

- Nie ma takiej potrzeby. Najpierw pojedziemy do ciebie taksówką.

W domu nikogo nie było, więc zostawiła wiadomość, że wyszła na kolację z przyjaciółką. Nie podała więcej szczegółów.

Gdy dotarli do restauracji, zamówili coś do picia i usiedli, Mitch zauważył, że Jane lekko się skrzywiła, gdy przeglądała menu.

- W czym problem?

- Czy mogę zamówić coś zwykłego? Ostatnio drażnią mnie zapachy wykwintnej kuchni.

- Oczywiście. A co chciałabyś zjeść?

- Grillowanego kurczaka z białym ryżem i warzywami gotowanymi na parze.

- Załatwione.

Choć jedzenie było dobre, to rozmowa zupełnie się nie kleiła, a Jane ciągle wychodziła na chwilę.

Po czwartym razie Mitch pochylił się nad stołem i patrząc jej prosto w oczy, zapytał:

- Próbujesz mnie unikać?

- Dlaczego tak sądzisz?

- Ciągłe wychodzisz do toalety pod byle pozorem.

- To żaden pozór, to hormony. Albo mam mdłości, albo chce mi się siusiu. Bez przerwy. - Znów się wykrzywiła. – I zasypiam, jak tylko przyłożę głowę do poduszki.

- Aha. - Poczul się głupio, stary facet, a nic nie wie. Cóż, dwa lata temu sprawy nie doszły tak daleko. - Przepraszam, Jane. I w ogóle to chciałem przeprosić za to, jak cię potraktowałem, gdy mi wyznałaś, że jesteś w ciąży.

- A dlaczego tak mnie potraktowałaś, jeśli mogę wiedzieć?

- No cóż... Ja... - Powinien był wyznać jej prawdę, ale słowa ugrzęzły mu w gardle. - To był dla mnie szok.

- Dla mnie to też był szok.

- Jeszcze raz cię przepraszam.

- Więc co to znaczy? Ze jednak chcesz się zaangażować?

- Ja... - Nie spodziewał się takiego pytania.

- Rozważmy wszystko powoli.

- Nie mogę w to uwierzyć - skomentowała z przekąsem Jane.

Była taka smutna... i zła. Cholera, nie chciał, żeby odeszła, ale jednocześnie nie chciał wyznać jej tego, co trzymał zamknięte głęboko w sobie.

Ujął jej dłoń.

- Jane, to nie jest łatwa sprawa ani dla mnie, ani dla ciebie.

- Rozumiem. Skoro zrzuciłeś sobie kamień z serca przeprosinami, to będziesz mógł znowu zniknąć.

- Nie, nie tak od razu.

- Kiedy wyjeżdżasz?

- Za niecały tydzień.

- Rozumiem.

- Przyjechałem do Anglii na kilka dni. Spędźmy je razem, dobrze?

Wykorzystajmy ten czas, by się lepiej poznać.

- Pewnie wiesz, że pracuję i nie mogę ot, tak sobie wziąć wolnego na twoje życzenie.

- Nie miałem na myśli całych dni. Też mam tu coś do zrobienia. Jutro jest sobota. Możemy ją wspólnie spędzić. Gdzieś pojedziemy. Wymyśl, co moglibyśmy robić.

- Naprawdę myślisz, że chciałabym spędzić ten dzień z tobą?

- Kiedyś nam się to świetnie udało. Pospacerujemy, pozwiedzamy, pójdziemy na herbatkę do Ritza.

- Będziemy się kochać... Oczywiście o tym nie



wspomniał, bo Jane była taka zła. Choć czuł, że jest między nimi iskrzenie, które podgrzewało mu krew. Widział je nawet w jej oczach, choć tłamsiła to, jak mogła.

- Zastanowię się nad tym.

Nie zamierzał błagać. Starał się tylko, by do końca obiadu być czarującym i zabawnym. Dopóki Jane nie zaczęła ziewać. Cóż, hormony.

- Odwiozę cię do domu.

Gdy taksówka dojechała na miejsce, Mitch pocałował ją w policzek.

- Do zobaczenia do jutra o dziesiątej.

- Hm... No dobrze. O dziesiątej.

Poczekał w taksówce, aż Jane wejdzie do domu, i pojechał do siebie.

Tej nocy wreszcie się dobrze wyspał, a do drzwi Jane zadzwonił punktualnie o dziesiątej.

- Gotowa? - zapytał, gdy otworzyła drzwi.

- Gotowa.

- To dokąd się wybieramy? - zapytał.

- Może do ogrodów Hampton Court?

- Świetnie. A byłaś tam już kiedyś?

- Dość dawno. Nie potrafiłam znaleźć wyjścia z labiryntu.

- A ja jestem całkiem dobry w nawigacji.

- Chcesz powiedzieć, że poradzisz sobie z labiryntem?

- To tylko matematyczna łamigłówka, a cały czas pracuję z liczbami, więc nie powinien być to wielki problem.

- Nie dasz rady.

- Idziesz o zakład? To dobrze. Jeśli wygram, stawiasz mi podwieczorek.

- A jeśli przegrasz?

- Wtedy będę musiał się wykupić.

Ich spojrzenia spotkały się. Mitch miał wielką nadzieję, że Jane wybierze taką wygraną, o której myślał.

- No to zakład. - Trzepnęła go w dłoń.

Cały dzień spędzili w Hampton Court, spacerując po komnatach Tudorów i ogrodach, trzymając się za ręce. Gdy doszli do centrum labiryntu i wyszli z niego bez problemu, w geście zwycięstwa Mitch dmuchnął w paznokcie swojej dłoni i wypucował je o koszulkę.

- Wątpiła pani w moje umiejętności nawigacyjne, pani Redmond. Jest mi pani winna podwieczorek.

Przewróciła oczami.

- Czy ty nigdy nie przestajesz myśleć o jedzeniu?

- Nigdy. - Nachylił się do jej ucha i szepnął: - A do tego mam na myśli kilka specjalnych dań.

Jane spłoniła się prześlicznie, a Mitch wyszczerzył zęby. Śmiali się i żartowali, a gdy wrócili do samochodu, Mitch zdał sobie sprawę, że wspaniale się z nią spędzało czas.

Aż się tym zaniepokoił.

Wiedział, że powinien pojechać do swojego mieszkania i popracować nad danymi, które przesłał mu mejlem Brad, ale jednak przełamał się i zaproponował Jane zjedzenie kolacyjki w przytulnym pubie. W końcu trafili do jego mieszkania. Słuchając

muzyki, siedzieli w milczeniu na sofie, aż Jane usnęła w jego ramionach.

- Hej, śpiochu! - Obudził ją delikatnie

- Co? - Ziewnęła, potem zamruwała. - Czas wezwać taksówkę.

Mitch wypił kilka kieliszków wina do kolacji i nie mógł jej odwieźć.

Zresztą nie chciał, żeby dzień się już skończył.

- Może jednak zostaniesz u mnie?

- Ale ty masz tylko jedno łóżko, na którym zresztą siedzimy.

Wyczuł, że jej protest jest połowiczny, bo nawet nie wyrwała się z jego objąć. Pocałował ją we włosy.

- Zanim zdążysz zadzwonić do przyjaciółek i umyjesz zęby, ja rozłożę

posłanie. - Przycisnął ją mocniej do siebie. - Zostań ze mną. - Gdy się

spięła, dodał: - Nie będę się na ciebie rzucał. Jesteś zmęczona i musisz się

wyspać, więc co się będziesz tłuc niewygodną taksówką.

To nie było tak do końca pozbawione sensu, pomyślała Jane.

- Dobrze, zostanę.

Gdy dzwoniła do Hannah, by powiedzieć jej, że zostaje na noc poza domem, Mitch przygotował dla niej stos ręczników, swój szlafrok i nową szczoteczkę do zębów. A gdy się kąpała, rozłożył łóżko. Gdy wsunęła się pod kołdrę, nadal w jego szlafroku, nie potrafiła się rozluźnić. Skulona pod ścianą czuła się dziwnie, za blisko niego i za daleko zarazem.

## 231

W końcu położyła się na wznak. Lecz też nie było jej wygodnie.

Pocałował ją w koniuszek nosa.

- Jesteś strasznie spięta. A ja akurat znam bardzo dobry sposób, by się odprężyć.

Seks?

Najwyraźniej musiała wypowiedzieć to słowo na głos, bo Mitch się roześmiał.

- W przeciwieństwie do powszechnie panującej opinii, większość mężczyzn nie ma na myśli tylko jednego.

- Czyżby?

- A tak. No i obiecałem, że się na ciebie nie rzucę. - Musnął ją ustami. - Zdejmij szlafrok i połóż się na brzuchu. Zamknij oczy.

Zaczął delikatnie masować jej plecy od karku po krzyż ukośnymi ruchami, powoli i delikatnie, roz-masowując napięte miejsca. Jane czuła, jakby unosiła się na chmurze.

- Podoba ci się?

- Mhm.

- A nie mówiłem?

- Jesteś zadziwiający... - Pogrzyżyła się w błogosławionym śnie.

Zgasił światło, odwrócił się na bok i przyciągnął Jane do siebie, by wpasowała się w kształt jego ciała.

Sam długo jeszcze nie zasnął.

Czuł bliskość, za którą tak bardzo tęsknił od czasów Natalie. Aż się tego bał.

Jak można było czegoś tak bardzo pragnąć, a jednocześnie nie chcieć? - znów zadał sobie pełne udreki pytanie. Tak łatwo byłoby zakochać się w Jane. Umiała go rozśmieszyć, pojedynkowała się z nim intelektualnie i potrafiła podniecić go jednym spojrzeniem.

A gdyby pozwolił sobie się w niej zakochać... i znowu wszystko by się rozpadło? Pewnie nie straciłby jej w taki sposób, jak stracił Natalie. Lecz co z tego? Był obieżyświatem, wciąż w ruchu, a ona prowadziła osiadły tryb życia. I choć mogło to wydawać się interesujące, z biegiem czasu stałoby się zbyt kłopotliwe, by ich związek mógł przetrwać.

Bał się, że jego serce mogłoby już tego nie wytrzymać.

Jutro zastanowi się nad tym, jak jej powiedzieć, że powinni ochłodzić relacje. Będzie wspierał ją i dziecko finansowo, ale nie da im nic więcej. Lecz dziś w nocy będzie się cieszył życiem, trzymając ją w ramionach. Jane obudziła się rano wypoczęta i rozgrzana... męskim ciałem. Mitch oplatał ją ramieniem, dłonią dotykał piersi.

- Odpręż się i śpij dalej - mruknął jej do ucha. - Jest mi bardzo wygodnie.

- Muszę do łazienki.

- Co, znowu? - Niechętnie uniósł ramię, by mogła wstać. Gdy wróciła, znowu przyciągnął ją do siebie. - Śpij! - mruknął.

## 233

Jane nie mogła już zasnąć, gdy trzymał ją w taki sposób.

- Mitch?

- Co znowu? - odezwał się marudnym tonem.

- Czy wiesz - poruszyła się nieznacznie - gdzie jest twoja lewa dłoń?

- Wiem. I jest jej tam bardzo wygodnie. Śpij.

Jak mogła zasnąć? Była zbyt świadoma jego obecności, czystego, męskiego zapachu, ciepła... i erekcji na plecach. Znowu się poruszyła.

- Ale z ciebie wiercipięta.

- Bo już nie śpię.

- Jesteś rannym ptaszkiem?

- Tak. Nie mów mi, że jesteś nocną sową.

- Potrafię być jednym i drugim.

Znowu się poruszyła, a on przyciągnął ją jeszcze bardziej do siebie.

- Na twoim miejscu nie wierciłbym się aż tak bardzo.

- Dlaczego?

- Bo... - Poruszył biodrami, dociskając erekcję do jej pleców. - Dlatego.

- Ach, ty...

- Śpij, proszę. Jestem zmęczony. Nie spałem całą noc, bo chrapałaś.

- Ja nie chrapię!

- Tylko żartowałem. - Jego usta przesuwwały się po jej plecach. - Mmm.

Ale ładnie pachniesz. - Znowu ją pocałował, a kciukiem pieścił jej sutek. -

Znowu się wiercisz... - Przesunął palcami niżej, dotarł do

gumki od majtek. - A to tutaj przeszkadza mi w tym, co tak bardzo chciałbym zrobić.

- Mitch...

- Jaka ty jesteś mięciutka i miła w dotyku, i ładnie pachniesz... I nie pragnę niczego bardziej, jak tego, by się z tobą kochać. - Poruszył biodrami.

- Nie wiem, co mam ci odpowiedzieć.

- Wystarczy „tak”.

Jane przewróciła się na plecy.

- Tak.

Jej uśmiech mógł topić lód - a powodował, że jego krew wrzała.

Mitch niemalże stracił na chwilę samokontrolę. Po prostu oszalał na punkcie seksu. No, Jane też oszalała.

- Jak mi dobrze - szepnęła, gdy wszedł już w nią.

- Tak, jesteś cudowna. Doskonale do siebie pasujemy.

Dotarło do niego, że kochają się bez prezerwatywy, jakby stawiali kropkę nad i. A co więcej - w ogóle nie powinni tego robić - bo przecież tak jeszcze niedawno planował ochłodzić stosunki. Ale o tym pomyśli później...

Obserwował, jak poszerzają się jej źrenice, jak spłyca się oddech, jak dochodzi do momentu szczytowania, jak jej ciało zaciska się wokół niego.

Nie wiedział, jak długo leżeli spleceni, spełnieni, uspokojeni.

Jane poruszyła się.

## 235

- Powinnam iść do domu.
- Przecież jest niedziela. Masz jakieś plany?
- Nie.
- To spędź ją ze mną. Obiecuję, że odwiozę cię wieczorem do domu.
- Mitch, muszę się wykapać.
- Chcesz, żebym do ciebie dołączył pod prysznicem i umył ci plecy?
- Nie możemy leżeć w łóżku cały dzień.
- Hm, a czemu nie? - Zgromiła go wzrokiem. - No dobrze. To przygotuję śniadanko.

Wyskoczył z łóżka, Jane poszła do łazienki. Włączył elektryczny czajnik i właśnie wyciągał owoce z lodówki, gdy usłyszał odgłos torsji.

- Jane? Dobrze się czujesz?
- To poranne mdłości.

Mitch wyjął z lodówki butelkę z wodą mineralną i napełnił nią szklanę. Zapukał w drzwi łazienki i wszedł. Położył szklanę na parapecie, odkręcił kurek z ciepłą wodą, namoczył ręcznik i wykręcił go.

- Już dobrze. - Otarł jej bladą twarz.
- Czuję się okropnie, Mitch.

I zostawił ją, by sama sobie dalej radziła, tak jak zostawił Natalie.

Nie wiedział, że Natalie jest w ciąży, gdy wyjeżdżał na Antarktydę. Ale gdy teraz wyjeżdżał, wiedział o ciąży Jane. Czuł się podle. Jak mógł tak zostawić kobietę w ciąży samą na pastwę losu? Co z niego za człowiek? Och, wiedział to doskonale. Był tchórzem. Bał się



**236**

zostać, bo jego serce mogłoby znowu zaangażować się w miłość.

- Napij się wody. - Wytarł jej twarz. - Powoli. Co jesz, gdy czujesz się tak paskudnie?

- Sucharki.

- Niestety nie mam. Mogę dać ci suchego tosta.

- Nie dam rady. Tosty pachną.

- Często ci się to zdarza? - Poglaskał ją po włosach.

- Znowu wróciło, a myślałam, że mam to za sobą. Poglaskał ją po policzku.

- Bierz, co tylko będzie ci potrzebne, a w razie czego zawołaj mnie.

Położę twoje rzeczy przed drzwiami łazienki.

- Dzięki.

Gdy Jane weszła ubrana do pokoju, łóżko z powrotem zamieniło się w sofę.

- Zrobić ci teraz tego tosta?

- Nie.

- A chcesz kawy?

- Nie, woda mi wystarczy.

- A nie będzie ci przeszkadzało, jeśli ja się napiję kawy? - Odpowiedzią była nagła zmiana kolorów jej twarzy. - To napiję się soku.

## ROZDZIAŁ ÓSMY

Po śniadaniu odwiózł ją do domu, by się przebrała. Jane rozzłościła się na niego, gdy odmówił wejścia do środka, by mogła przedstawić go swoim przyjaciółkom. Wcale nie uwierzyła w jego wytłumaczenie, że musi odpowiedzieć na kilka mejli w samochodzie. Dobrze wiedziała, że w Ameryce jest jeszcze ciemna noc, ale nie chciała go zmuszać i zrywać wciąż wąskiego porozumienia.

I zadowolona była ze swojej decyzji, gdy jechali z powrotem do centrum Londynu.

- Pomyślałem, że będzie to taki zupełnie relaksacyjny dzień - oznajmił Mitch, parkując samochód w bocznej ulicy, której Jane nie знаła.

Ale gdy tylko znaleźli się na głównej ulicy, od razu rozpoznała miejsce.

- To St. James Park.

- Doskonałe miejsce na doskonały spacer.

Szli ze splecionymi dłońmi nad brzegiem stawu, obserwując flamingi i pelikany żyjące na Wyspie Kaczek. Mitch kradł Jane pocałunki, uśmiechał się do niej w taki sposób, że aż miękły jej kolana. W takim właśnie mężczyźnie zauroczyła się w swoje urodziny

- nie w zimnym, wyniosłym nieznajomym, którym stał się przy okazji następnego spotkania.

Lunch zjedli w barze przekąskowym na tarasie pod parasolem, a lekki wiatr rozwiewał co pikantniejsze zapachy, więc Jane mogła jeść bez uczucia mdłości.

Gdy nie mogła się zdecydować, co najpierw spróbować, Mitch zaproponował zabawę.

- Zamknij oczy i otwórz usta.

- Słucham?

- Zrób, co mówię.

Jane zamknęła oczy i poczuła, że coś ociera się o jej dolną wargę.

Okazało się, że była to czarna, słonawa oliwka. Nigdy w taki sposób nie flirtowała. Zaskoczyło ją, jakie to podniecające. Gdy uniosła powieki, w jego oczach ujrzała to samo pragnienie. Gdyby tylko nie byli w miejscu publicznym...

Potarła oliwkę o dolną wargę i zwilżyła usta czubkiem języka.

- Jane, czy ty próbujesz mnie uwieść?

- No coś ty, w barze pełnym ludzi?

Mitch pochylił się, poczuła jego usta bawiące się jej uchem.

- To działa - szepnął.

Po chwili skończyli lunch, a Mitch jechał jak wariat do mieszkania. Jane nigdy nie sądziła, że sofa może tak szybko zmienić się w łóżko. Sama nie mogła się doczekać.

Mitch działał jednak powoli. Badał, drażnił, smakował Jane. I wcale się nie śpieszył, gdy ona...

239

- Ty draniu! Jeśli będziesz się dłużej ze mną droczył, to...

- Madame, czyżbyś mi groziła?

- Tak! Mitch... błagam... - Chwyła jego palce, kazała się pieścić nie delikatnie, tylko mocno, szaleńczo. - Mocniej! - Docisnęła się ciałem do jego dłoni.

Mitch wsunął w nią jeden palec.

- Już lepiej?

- Nie.

Wsunął drugi palec.

- A teraz?

- Nie. Przestań.

- Proszę bardzo. - Wysunął palce.

- Nie!

Jane otworzyła oczy i patrzyła na niego.

- „Przestań” zwykle oznacza „nie” - przypomniał jej Mitch.

- Chciałam powiedzieć: Przestań się ze mną drażnić.

- To powiedz mi, czego pragniesz. Poczula, że czerwieni się na twarzy.

- Chcę...

- Nieśmiałość?

Tego było za wiele. Jane usiadła i pchnęła go na łóżko.

- Po prostu ci pokażę.

- Uwielbiam, jak zmieniasz się w kapitana statku. Śmiał się jeszcze jedynie przez moment. Zaczęła drażnić się z nim dokładnie tak samo, jak

on to robił z nią. Doprowadzała go do momentu, w którym zebrał o więcej. Zniżała się z pocałunkami w dół jego ciała, a jej nagrodą były dreszcze, które nim wstrząsały. I dobrze.

Ale jeszcze nie skończyła. Nie tak szybko!

Koniuszek jej języka zatoczył koło wokół jego pępka i posunął się w dół, aż wreszcie dotarł do czubka prącia.

- Jane, jesteś...

Ha! Właśnie do takiego stanu chciała go doprowadzić. Żeby nie mógł się wysłowić, tak jak ona przed chwilą nie mogła. Ciepłym oddechem drażniła go, zatrzymując usta o milimetr.

- Jane... Ja., zaraz...

- Monsieur, czyżbyś mi groził? - zakpiła.

- Nie. To prośba. Jane... Proszę!

Usiadła na jego udach, ujęła jego członek w dłoń i zaczęła powoli wsuwać w siebie. Milimetr po milimetrze. Obserwowała wyraz twarzy Mitcha - pożądanie mieszające się z przyjemnością, radością i nie-wysłowioną rozkoszą...

Nie wyszli z łóżka przez resztę dnia. Mitch zrobił wyjątek, gdy sięgnął po komórkę i zamówił chińszczyznę. Którą też zjedli w łóżku.

Było jej ciepło i wygodnie w jego ramionach. Leżeli, słuchając muzyki klasycznej. Ale następnego dnia był poniedziałek i życie musiało wrócić do normalnego rytmu.

Usiadła na łóżku, pocałowała Mitcha.

- Naprawdę powinnam już iść do domu - stwierdziła niechętnie.
- Dlaczego?
- Przecież rano idę do pracy. Ty pewnie też masz coś do roboty?
- Mhm. A jest jakaś szansa, żebyś wzięła sobie trochę wolnego w tym tygodniu? Choćby jeden dzień?
- Porozmawiam z szefową. To zależy, czy ktoś inny nie jest na urlopie.
- Dobrze. Ale przynajmniej mogłabyś iść do pracy jutro prosto stąd.
- Przecież nie mam tu ubrania ani bielizny. Ani...
- No dobrze. To przyjdę po ciebie do pracy. Pójdziemy do kina, a potem na jakieś jedzonko.
- To znaczy, że będziemy siedzieć do późna. - Pokręciła głową. - Nie mogę zarywać nocy, gdy następnego dnia idę do pracy.

Pocałował ją w czoło.

- Stąd jest bliżej na West End niż z twojego mieszkania, więc jeśli zostaniesz u mnie na noc, to nie zarwiesz nocy. Gdy odwiozę cię do domu, spakujesz się i dasz mi torbę, żebym zabrał ją z sobą tutaj na jutro.
- Ja...
- A jeśli pozwolę ci wybrać film?
- Wytrzymasz babski film? - rzuciła przekornie. Była pewna, że woli filmy akcji.
- Biorąc pod uwagę, że dostanę dużą porcję

lodów i po filmie spędzisz ze mną noc, to myślę, że wytrzymam na babskim filmie.

- Okej. Ale wejdiesz do mnie dziś i przedstawię cię moim przyjaciółkom?

- Jak cię odwiozę, to potem mam coś do zrobienia. - Widział, jak ją to zasmuciło. Pocałował Jane w policzek. - Przestań się martwić. Wszystko będzie w porządku.

Przez parę kolejnych dni Jane wydawało się, że ich związek stawał się trwalszy i silniejszy. Poszli do kina na romantyczną komedię, na której Mitch ledwie uśmiechnął się może z jeden raz, ale słowem nie marudził.

- Nie podobał ci się ten film, prawda? - zapytała Jane, gdy zamówili dania.

Uśmiechnął się do niej seksownie.

- To prawda, ale wiesz jak to jest w życiu: Ciężka praca popłaca.

- Ty ciągle o tym samym...

- No cóż... - Jego uśmiech zmienił się w szelmowski.

Tego wieczora kochali się powoli i czule, aż Jane chciało się płakać ze wzruszenia. To było coś więcej niż seks. To była... deklaracja miłości.

We wtorkowy wieczór Mitch odebrał Jane z pracy i znowu zjedli obiad na mieście, pospacerowali nad rzeką, ale tym razem odwiózł ją taksówką pod dom i odjechał, dopiero gdy upewnił się, że Jane weszła bezpiecznie do domu.

## 243

Ani razu nie wspomniał o dziecku, znowu dał do zrozumienia, że chce się z tą myślą oswoić. Może wreszcie zaczynało to do niego docierać.

W duszy Jane zaczął się tlić mały płomyk nadziei, że może wszystko się jakoś ułoży.

W środę, wiedząc, że Jane wzięła dzień wolny, Mitch wreszcie pojawił się w jej mieszkaniu.

- Boisz się ich, co? - zapytała Jane, otwierając drzwi.

- Kogo?

- Przyjaciółek, z którymi mieszkam. Czekaleś, aż wyjdą do pracy. A gdyby jedna z nich była chora albo pracowała na drugą zmianę?

- Uspokójcie się, moje drżące kolana. - Roześmiał się. - Wcale się ich nie boję. Po prostu mam niewiele czasu i chcę go spędzać tylko z tobą.

Jane oprowadziła go po mieszkaniu. Bardzo mu się tu podobało, dopóki nie doszedł do jej pokoju.

- To najdalszy pokój od łazienki.

- Nie szkodzi.

- Właśnie że szkodzi. W nocy lataasz w tę i z powrotem jak jojo.

- Kiedyś przestanę latać.

- Poza tym jest mikroskopijny. To nie jest pokój tylko karton po butach.

- Aleja lubię swój pokój.

- Jest miły, ale za mały. I to łóżko... nawet dla jednej osoby jest za wąskie.

- Mnie wystarczy.

- To jest łóżko co najwyżej dla studenta.



- Może kiedyś faktycznie była tu stacja studencka.

- Ale ty już nie jesteś studentką.

To prawda, ale będzie musiała sobie jakoś poradzić.

Krytyczne uwagi Mitcha zasmuciły ją, a już kompletnie straciła humor, gdy weszli do galerii sztuki nowoczesnej.

- Co się dzieje? Nie lubisz sztuki nowoczesnej?

- Jestem trochę staroświecka.

- Rozumiem, że nie każdy musi ją lubić, ale musisz to jakoś znieść, bo chciałbym pokazać ci jedno szczególne dzieło.

Opowiadał jej o sztuce nowoczesnej i dzięki niemu spojrzała na nią z innej perspektywy. Wreszcie doszli do kolejnej sali. Mitch zatrzymał się w progu, jakby chciał zobaczyć reakcję Jane.

Natychmiast dostrzegła to, co chciał jej pokazać - olbrzymi pomarańczowo-żółty dysk, podświetlony od tyłu. Wyglądał jak wschodzące słońce. Było w nim coś ponadczasowego.

- Jakie to piękne!

- To chalcedon. Wygląda cudownie z większej odległości, ale gdy dojdiesz do niego, to zaczynasz dostrzegać nieczystości w kamieniu, które wyglądają jak plamy na słońcu. No i to światło przenikające przez kamień...

Jane cieszyła się, że dzieliła z nim te same emocje i zachwyty. Zaczęła się zastanawiać, czy Mitch kiedykolwiek podzieli z nią emocje, zachwyty i poczucie

niezwykłości związane z przyjściem na świat dziecka. Wiedziała, że nie ma sensu go o to pytać, bo i tak uchyliłby się od odpowiedzi. Jednak pod koniec dnia czuła, że Mitch trochę jakby się przed nią otworzył. Może potrzebował więcej czasu...

W czwartek Mitch spędził cały dzień na robieniu czegoś, czego nigdy w życiu nie planował robić - na szukaniu mieszkania do wynajęcia. Chciał znaleźć miejsce, w którym Jane będzie wygodnie - z dużym małżeńskim łóżkiem i wygodną łazienką przy sypialni. Było dla niego oczywiste, że nie mogła zostać z przyjaciółmi i dopóki był w kraju, chciał jej pomóc w znalezieniu lepszego lokum.

Szukał mieszkania przez internet i agencje nieruchomości, ale wszystkie oferty były nieodpowiednie - albo w nieciekawej dzielnicy, albo za małe. Dopiero na samym końcu trafił w dziesiątkę.

Lokal znajdował się w dzielnicy, gdzie dotąd mieszkała Jane\* miał odpowiedni układ i był do wzięcia od zaraz. Mitch ucieszył się niezmiernie, że będzie mógł załatwić sprawę jeszcze przed wyjazdem do Stanów.

Obejrzał mieszkanie wraz z agentem. Było czyste i zadbane, na parterze, z przyjemnymi meblami, z małżeńskim łóżem i z miłymi sąsiadami. Jane na pewno będzie tu wygodnie.

- Jedźmy do biura, bym mógł rzucić okiem na umowę najmu - odezwał się do pośrednika nieruchomości.

- Jest pan zdecydowany?

- Jeśli podpiszemy umowę, będę mógł już dziś dostać klucze?

Jak zwykle spotkał się z Jane po pracy. Pocałował ją na powitanie. Zabrał na kolację. A potem cicho, by Jane nie usłyszała, podał adres taksówkarzowi.

- Dlaczego się tu zatrzymaliśmy? - spytała po jakimś czasie.

- Chcę ci coś pokazać.

- Co takiego?

- Cierpliwości, moja droga.

- Oho, wzór cierpliwości się odezwał... Roześmiał się, po czym otworzył drzwi do mieszkania.

- Mitch! O co tu chodzi?

- Wejdź i zobacz sama.

- No widzę. Mieszkanie. Puste.

- Nie puste, tylko umeblowane. Podoba ci się?

- Niezłe. A czemu pytasz?

- Czemu? Bo w najbliższy weekend tu się przeprowadzasz.

- Ze niby co robię?!

- Powiedziałem, że przeprowadzasz się tu w najbliższy weekend. To teraz będzie nasze mieszkanie.

- Nasze... mieszkanie?

- Mhm. I przenosiny w najbliższą sobotę.

- Nie mogę ot tak powiedzieć dziewczynom, że się wyprowadzam bez wypowiedzenia!

- Oczywiście, że nie, ale na pewno jakoś się dogadacie. Masz wolną rękę, bo nie dojdą ci żadne nowe koszty. Za to mieszkanie ja będę opłacał czynsz i inne rachunki.

- Ty?

- Oczywiście.

- I też będziesz tu mieszkał?

- Jak tylko będę w kraju.

- Zrobiłeś to, nawet nie pytając, czy chcę z tobą mieszkać.

- Wszystko dobrze się układa, Jane. Twoje łóżko jest wąskie, niewygodne, a pokój jest za daleko od łazienki. Tutaj masz wielkie łoże i łazienkę tuż obok sypialni. Mieszkanie jest niedaleko twoich przyjaciółek, więc nie będziesz od nich odcięta. Jest nawet bliżej do metra.

- Mitch... dlaczego nie uzgodniłeś tego ze mną? Co ty sobie właściwie myślisz, że kim niby jestem? Dywanikiem, który można zwinąć i wszędzie z sobą zabrać?

- Nie. - Przeczesał włosy palcami. Nie spodziewał się takiego zachowania Jane. - Ciężko się z tobą rozmawia. Próbowałem zrobić dla ciebie coś miłego, sprawić, żebyś mogła wygodnie mieszkać, do tego w pobliżu przyjaciółek.

- Nie lubię niespodzianek.

- Jesteś nierozsądna.

- Czyżby? Wybrałaś sobie to mieszkanie, nawet nie pytając mnie o zdanie.

- Bo byłaś w pracy.

248

- I tak mogłeś mnie zapytać. Wiesz, są telefony, mejle...

- No dobrze. - Westchnął ciężko. - To pograjmy w wymarzone mieszkanie. Gdzie miałyby się znajdować? Blisko twoich przyjaciółek, tak?

- Tak.

- I powinno mieć sporą sypialnię. Najlepiej z łazienką tuż obok, tak?

- No tak.

- I przyzwoitą kuchnię?

- Tak.

- Właśnie opisałem to mieszkanie. Więc w czym problem?

- Nie zapytałeś mnie, czy tego chcę.

- Posłuchaj... - Znów to westchnienie. - Przyznałaś się, że przyjaciółki nazywają cię Jane-Om-nibuska, tak? I jesteś powszechnie uważana za osobę rozsądną, tak?

- Tak mnie nazywają i uważam się za osobę rozsądną.

- Więc to jest właśnie rozsądny wybór.

- Ale nie zapytałeś mnie, czy tego chcę - powtórzyła stanowczo.

Mitch złożył ręce na piersiach.

- Więc wolisz spać w malutkim łóżku, w malutkim pokoiku i mieć daleko do łazienki?

- Nie.

- Więc w czym problem?

- Ile razy muszę powtarzać? Nie zapytałeś się mnie, czy tego chcę!

Chyba tylko hormonami można było wytłumaczyć taki upór.

- No dobrze. To zrobmy to po twojemu. Czy chcesz ze mną zamieszkać, Jane?

- Przecież prawie się nie znamy. Miała odpowiedzieć: tak.

- Czy najlepszym sposobem na to, by ludzie się poznali, nie jest wspólne zamieszkanie?

- Na wszystko masz odpowiedź.

- Zazwyczaj.
- Nienawidzę cię.
- Nieprawda.-Mógł to zaraz udowodnić, bo żaru między nimi zdecydowanie nie można było nazwać nienawiścią.
- Wiem o tobie tylko tyle, że jesteś bałaganiarzem, zostawiasz otwartą tubkę z pastą i...
- Jane. Przecież żyję na walizkach. I dbam o siebie.
- Twoja praca to chaos.
- Co wcale nie oznacza, że żyję w chaosie. Potrafię prowadzić dom. I umiem gotować.
- A skąd niby miałam to wiedzieć?
- Mojamamajestnauczycielem, prowadzi przedmiot przygotowanie do życia w rodzime, i dopilnowała, żebym nie był domowym kaleką.
- Ale my ciągle jedliśmy w knajpach.
- Bo nie znosisz mocnych zapachów. Ale udowodnię ci to w sobotę, po przeprowadzce tutaj.
- Po czym?
- Po przeprowadzce - odpowiedział cierpliwie. - Czy mam wynająć furgonetkę?

- Wciskasz mnie tu na siłę.
- Nie, próbuję tylko stworzyć ci odpowiednie warunki do życia. Ustalmy więc, naprawdę podoba ci się to mieszkanie, czy też wolisz zamieszkać tu tymczasowo i poszukać sobie czegoś innego?
- Podoba mi się.
- Czyli problem rozwiązany.
- Ja... - Opuściła ramiona. - Źle to rozegrałeś, Mitch. Gdy mężczyzna chce zamieszkać z kobietą, zwykle razem szukają mieszkania.
- Byłaś w pracy, a to doskonale lokum. No i musiałem działać szybko, żeby ktoś nas nie uprzedził. - Objął ją ramionami. - Po prostu chciałem coś dla ciebie zrobić... żebyś mogła mieszkać w wygodnych warunkach. - Dotknął policzkiem jej włosów. - To miała być miła niespodzianka. I chciałem znaleźć takie mieszkanie, żeby odpowiadało ci pod wszystkimi względami.
- Nie chcę, żebyś pomyślał, że jestem jakąś niewdzięczną krową.
- Wcale nie jesteś. A ja powinienem się ciebie zapytać o wspólne zamieszkanie w odpowiedni sposób. Tyle że taki już jestem, jak mam coś do zrobienia, to po prostu robię. - Uszczypnął ustami jej ucho. - A jeśli ci się tu nie podoba, to znajdź miejsce, które będzie ci bardziej odpowiadało i tam się wprowadzimy.
- Nieee... - zaprzeczyła drżącym głosem. Objął ją, spojrzał w jej w twarz, otarł łzy opuszkami kciuków.

- Nie płacz. Wszystko będzie dobrze. Zrób listę potrzebnych rzeczy, a ja wszystko załatwię, gdy będziesz w pracy.
- Więc nawet nie będę mogła ich sama wybrać? Mitch westchnął.
- Zrób dokładną listę. Podaj mi nazwę sklepu, wybierz kolor... co chcesz.
- I może być nawet ostry róż? - W jej oczach znowu pojawił się blask. Mitch wiedział, że już tylko z nim się drażni.
- Ostry róż z seledynowymi wzorkami, jeśli tylko będzie ci się podobał. Jutro kupię podstawowe rzeczy, które na jakiś czas wystarczą, a potem dokupisz resztę, dobrze? Ja zapłacę.
- Przecież mam dobrą pracę. Mogę zapłacić połowę.
- Świetnie. Dość już dyskusji. Odprowadzę cię do domu. A ty prześlij mi SMS-em albo mejlem listę zakupów. - Jego usta zatrzymały się na milimetry od jej ust. - A w sobotę poświęcimy mieszkanie...



## ROZDZIAŁ DZIEWIĄTY

W piątek Mitch kupił wszystko z listy Jane. Nową pościel i ręczniki oddał do pralni, zakupy spożywcze wpakował do lodówki i szafek kuchennych. Potem odebrał pranie i pościelił łóżko. Jeśli Jane naprawdę myślała, że on żyje w ciągłym bałaganie i byle jak, to... będzie musiała odszukać swoje słowa.

Poszedł odebrać ją z pracy.

- No i jak udała ci się wyprawa na zakupy?
- Kupiłem wszystko, co chciałaś. Więc teraz albo któreś z nas coś gotuje w domu, albo zjemy na mieście.
- Albo zjemy obiad u mnie.
- U mnie? A nie u nas?
- Nie, chodzi mi o mieszkanie, w którym nadal mieszkam. Chcę, żebyś poznał moje przyjaciółki. Pomogą mi jutro w przeprowadzce.
- Nie ma takiej potrzeby. Sam sobie poradzę z przeprowadzką.
- Im naprawdę na mnie zależy. Nie pozwolą mi wprowadzić się do nowego mieszkania, zanim same wszystkiego nie sprawdzą.
- To ja w takim razie proponuję kompromis.

Wpadniemy do nowego mieszkania, żebyś mogła zobaczyć, czy wszystko jest jak trzeba, a potem pojedę z tobą i przedstawię ci moje przyjaciółki. Zamówimy jedzenie z dostawą do domu. Jane miała łzy szczęścia w oczach, gdy zobaczyła mieszkanie, a szczególnie gdy przeczytała liścik dołączony do bukietu kwiatów, stojącego na stoliku śniadaniowym w kuchni:

### *Udanej przeprowadzki!*

- Jane, nie możesz teraz się popłakać, bo przyjaciółki pomyślą, że znowu cię czymś zdenerwowałem i wszystko skończy się ogromną awanturą.
- To wszystko przez te hormony.

- No dobrze, to chodźmy już poznać te twoje przyjaciółki.

Spotkanie ze współlokatorkami Jane nie było wcale takie beznadziejne, jak się tego spodziewał. Dokładnie o wszystko go wypytywały, ale spodziewał się tego, więc się nie obraził. Po prostu kochały Jane i chciały upewnić się, że będzie szczęśliwa.

Gdy jednak żegnał się z nimi wieczorem, mimo wszystko miał uczucie, że ława sędziowska nie osiągnęła jeszcze werdyktu.

Następnego dnia przyjaciółki Jane obejrzały mieszkanie i stwierdziły, że Mitch dokonał najlepszego z możliwych wyborów. Wtedy całkowicie go zaakceptowały.

- Więc ten najmniejszy pokój będzie sypialnią dziecka? - zapytała Charlie, gdy wszystkie rzeczy Jane znalazły się już w nowym mieszkaniu.

- Jeśli tylko Jane tak zdecyduje. - Mitch wzruszył ramionami. - Jeszcze jest stosunkowo wcześnie.
  - Czternasty tydzień to wcale nie tak wcześnie. Zaraz skończą się jej poranne nudności i zacznie rozkwitać. I właśnie teraz najlepiej planować i realizować różne projekty, bo potem zrobi się wielka i ociężała.
  - Daj nam najpierw szansę na umoszczenie się w tym mieszkanku - odpowiedział bez napięcia w głosie, choć nie chciał nawet myśleć, co będzie się działo, gdy Jane będzie „wielka i ociężała”. - Skoro poświęciliście nam swoje popołudnie na przeprowadzkę, to może zostanieie na obiedzie?
  - Zamówimy coś z dostawą do domu? - zapytała Hannah.
  - Nie, chcę upiec kurczaka po hiszpańsku. Podam go z brązowym ryżem, brokułami i marchewkami, a na deser sałatka owocowa.
  - Umiesz gotować? - zapytała Shelley, otwierając szeroko oczy ze zdziwienia.
  - Przecież mówiłem Jane, że moja mama jest nauczycielką przysposobienia do życia w rodzinie i kwestią jej honoru było nauczenie dzieci gotować.
  - Wiesz, one cię polubiły - oświadczyła Jane, gdy przyjaciółki wyszły, odmówiwszy zostania na obiad. - Mam nadzieję, że nie zepsuję twojej potrawy, jeśli poproszę, żebyś zrezygnował z dodawania czosnku, po którym mam zgagę, i ostrej papryki?
  - Dam sobie radę bez nich.
- Mitch nagle zdał sobie sprawę, że poczuł się jak

w domu, jakby zapuścił na chwilę korzenie. Nie wiedział sam do końca, jak ma się zachować: czy iść do Jane i wtulić się w nią, czy uciekać gdzie pieprz rośnie.

Gdy skończył gotować, zawołał Jane do kuchni, gdzie nakrył do stołu.

- To jest pyszne - oświadczyła, gdy spróbowała kurczaka. - Wcale nie żartowałeś, że umiesz świetnie gotować.

- Nie.- Gdyby ktokolwiek powiedział mi, że nie potrafisz być udomowionym mężczyzną, roześmiałabym się mu w twarz. Wszędzie czyściutko. Nawet zaniósłeś nową pościel do prania.

- No wiesz, gotuję, bo to lubię. Cenię porządek, bo jeśli żyje się na walizkach, to bałagan oznacza gubienie ważnych rzeczy. Ale nie robię jednej rzeczy - nie prasuję. Po prostu oddaję wszystko do prania i dostaję już uprasowane.

Jane zdała sobie sprawę, że Mitch poszedł na wielki życiowy kompromis - do tej pory żył na walizkach, ale teraz zaczął zapuszczać korzenie. Robił to dla niej.

Więc może też zacznie akceptować dziecko? Choć nadal nie chciał o nim rozmawiać i zawsze zmieniał temat, gdy ktokolwiek wspomniał coś o brzuchu albo łóżeczku.

Mitch nawet nie pozwolił Jane pozmywać po obiedzie.

- Przestań, przecież nie jestem inwalidką. Jestem tylko w ciąży.
  - Wiem, ale dziś dosyć się namęczyłaś. Usiądź i odpocznij sobie.
  - Lubisz porządzić w kuchni, co?
  - Wcale nie. Ale masz iść stąd i usiąść. Bo inaczej zadzwonię do Charlie i naskarzę jej, że się przemęczasz.
  - To szantaż.
  - Tak, i co z tego - odpowiedział z uśmiechem. Resztę wieczoru spędzili razem na sofie, tuląc się do siebie, słuchając muzyki i odpoczywając.
- Przyszła pora na położenie się spać. Po kąpieli pod prysznicem Jane zanurkowała pod kołdrę i poczuła się dziwnie. Była przyzwyczajona do swojego wąskiego łóżka, a to olbrzymie łoże małżeńskie wprost przytłaczało swym ogromem.
- Wszystko w porządku? - zapytał Mitch, pakując się obok niej.
  - Jasne. Tylko że nie jestem przyzwyczajona do tak wielkiego łoża.
  - A ja przyzwyczaiałem się do wszystkich rodzajów łóżek. Prawie każda noc spędzona w innym motelu. Jedne łóżka są lepsze, inne gorsze. Podłożył sobie wysoko poduszki pod plecy i wziął do rąk coś, co wyglądało jak naukowe manuskrypty, i czerwony długopis.
  - Będiesz pracował?
  - Co? Ach, przepraszam. Czy przeszkadza ci światło?

- Nie, tylko że... - Jane nie spodziewała się, że bn zacznie teraz pracować. Poprzednie noce spędzali zupełnie inaczej. Zawsze on utulał ją do snu. Gdy Jane znowu poprawiła poduszkę i po raz dziesiąty zmieniła pozycję, Mitch wreszcie odłożył swoje papiery.

- No dobrze, dotarło do mnie.

- Nie robiłam tego celowo, tylko... - Jane dotknęła ręką pleców.

Mitch dostrzegł ten ruch.

- Okej. Połóż się, zrobię ci masaż.

Dotyk jego palców przyniósł ukojenie. Mitch dokładnie wiedział, jak masować i które miejsca uciskać. Ostatni raz, gdy jej to robił, to się kochali.

- Odpręż się, dobrze?

- Poprzednio, gdy mnie masowałeś...

- To było tamtego dnia, a dziś jesteś zmęczona. Owszem, powiedziałem, że byłoby miło ochrzcić mieszkanie, ale jutro też jest dzień, do tego niedziela. Nie musimy się śpieszyć. I jutro na pewno będziesz czuła się lepiej.

Dotrzymał słowa. Jane spędziła cały dzień z uśmiechem na twarzy.

Wieczorem odpoczywała na sofie z książką, słuchając muzyki. Mitch pojawił się w salonie po jakieś papiery.

- Pracujesz? To ściszę muzykę.

- Nie, jest okej. Zrobię to w samolocie.

- W samolocie? - Jane odłożyła książkę i poszła za nim do sypialni. Mitch właśnie się pakował. - Dokąd lecisz?

- Do pracy. Powiedziałem ci, że będę tu teraz tylko przez tydzień. Ale... przecież znalazł dla niech mieszkanie... Czy nie mógłby zostać odrobinę dłużej?

To pytanie musiało odbić się na jej twarzy, bo Mitch odpowiedział:

- Nie martw się, niedługo wrócę.
- Kiedy masz samolot?
- Jutro, o jedenastej.

Nie będzie mogła mu pomachać ręką na pożegnanie. I nie ma szansy na zwolnienie lekarskie.

- No to świetnie.

- Jane, nie rób z tego sprawy. Wiedziałaś, że tak będzie.

Może i wiedziała, ale już w środę czuła się tak samotnie, mimo że Mitch dzwonił codziennie. Mimo że wysyłał do niej mejle i zdjęcia.

Nawet praca nie przynosiła ukojenia. Projektowała wystawę i wybierała dokumenty, które miały być umieszczone w kluczowych miejscach.

Popołudniami współpracowała z agencją reklamową, by wypełnić sobie czas, ale gdy tylko w domu włączała laptopa, od razu czuła wokół siebie pustkę i ciszę. Samotność.

- Co słychać? - zapytała Hannah, gdy spotkała się z Jane przed kolejnymi badaniami kontrolnymi.

- Nic, wszystko w normie - dopowiedziała Jane z szerokim uśmiechem.

- Znam cię wystarczająco długo, by wiedzieć, że jesteś czymś zaniepokojona. Więc o co chodzi?

- Czuję się jak samolubna żołą.
- Dlaczego?
- Bo to Mitch znalazł mieszkanie.

- I już ci się tu nie podoba? Masz okropnych sąsiadów?

- To nie to. Jestem przyzwyczajona do waszego towarzystwa. Mitcha nie ma już od dwóch tygodni i nie mam zielonego pojęcia, kiedy się pojawi i jak długo zostanie. Głupio mi to mówić, ale czuję się tak samotnie.

- Nie marudź. Przecież wiesz, że bardzo lubimy twoje odwiedziny, a i my możemy do ciebie częściej wpadać. Choć to raczej leczenie objawów, a nie źródła problemu.

Jane skinęła głową.

- I tak już zawsze będzie. Przyjedzie na tydzień, będzie cudownie, i znowu wyjedzie na nie wiadomo jak długo. Nie chcę takiego życia. I nie chcę takiego życia dla mojego dziecka.

- Musisz z nim o tym porozmawiać.

- Zrobię to, jak tylko wróci.

Tydzień później Jane pracowała nad przygotowaniem materiałów na wystawę, gdy usłyszała odgłos przekręcanego klucza w zamku. Po chwili trzaśnięcie drzwi i głos:

- Jest ktoś w domu?

- Tak - odpowiedziała, po czym usłyszała stuknięcie walizki odkładanej na podłogę. Mitch stanął w drzwiach salonu.



Serce szybciej jej zabiło. Zapomniała już, jaki on jest przystojny.

Szczególnie gdy się tak uśmiecha

- ciepłym, seksownym wykrzywieniem ust, które są obietnicą czystej rozkoszy.

Jane wstała, a Mitch objął ją ramionami. Pocałował. Choć był to pocałunek delikatny, przemienił się w namiętny i wyrażający pragnienie. Mitch zaniósł Jane prosto do łóżka. Wszystkie jej plany poważnej rozmowy spaliły na panewce, gdy Mitch zaczął ją pieścić i całować po całym ciele, rozpalając do białości.

- Mmm, to było bardzo przyjemne powitanie

- oświadczył już po wszystkim.

- Nawet nie powiedziałeś „cześć”.

- Oczywiście, że powiedziałem, ale nie słowami. I to nie w taki sposób, jak witam się z innym.

- Dobrze wiedzieć.

Nigdy wcześniej o tym nie pomyślała. Przecież Mitch dużo podróżował i ciągle musiał widywać jakieś kobiety, i to takie, które nie miały pękatego brzucha, i które, widząc jego atrakcyjność, też pewnie chciałyby się z nim bliżej poznać.

- Nie musisz się ze mną drażnić. W czym rzecz? Coś nie tak?

- Nie dałeś znaku, kiedy przyjedziesz.

- Chciałem zrobić ci niespodziankę. Zapomniałem tylko kupić kwiaty na lotnisku. Ale, ale... za to mam dla ciebie coś innego.

Włożył bokserki i boso wyszedł z pokoju.

Mieszkanie zmieniło się od jego ostatniego pobytu. Jane kupiła rośliny doniczkowe, powiesiła grafiki i obrazki na ścianach, a na parapecie w kuchni stały doniczki z ziołami. Na sofie leżały poduszki, a na półeczce nad kominkiem pojawiły się świece.

Przez chwilę Mitch poczuł lekką panikę - zostawił mieszkanie urządzone prosto i wygodnie, a zastał takie - domowe. Nie był do tego przyzwyczajony. W Anglii mieszkał w wynajętych na krótko mieszkaniach, a w Stanach w motelach. Nigdy w żadnym miejscu nie bawił zbyt długo.

A tu poczuł się, jakby zaczął zapuszczać korzenie.

Podobnie jak kiedyś, gdy urządzał niewielki dom w Cambridge z Natalie, którego nie miał siły później sprzedać, tylko go wynajął.

Czuł, że będzie musiał opowiedzieć Jane o tym, co się stało wcześniej w jego życiu. Ale im bardziej to opóźniał, tym trudniej mu było zacząć. A dziecko w brzuchu Jane rosło. Jakżeby mógł teraz snuć opowieść o przeżytych smutku - mogłaby się przerazić i dostać sennych koszmarów. I tak będzie musiał jej o tym opowiedzieć, ale później. Na razie należało się cieszyć tym, co jest, pomyślał i sięgnął do walizki po małe pudełko. Pudełko, które trzymał w rękach, było zbyt duże na pierścione. Przecież takie myślenie to głupota, upomniała się Jane. On nawet nie znał wielkości jej palca i nie miał zamiaru z nią się żenić. To oznaczałoby przywiązanie, a tego się przecież strasznie bał.

To, że wynajęli wspólnie mieszkanie, było już i tak czymś więcej, niż mogła się spodziewać. Nadzieja na więcej byłaby głupotą najwyższego lotu, myślała Jane.

- Dziękuję - odparła, przyjmując upominek i otwierając pudełko, w którym była jakaś bryłka o dziwnym kształcie. - Przepraszam za swoją niewiedzę, ale co to jest?

- Fulguryt.

- Niewiele mi to mówi.

- To piorun zamknięty w skale.

- Do tej pory sądziłam, że piorun to wyładowanie elektryczne, więc jak może być zamknięty w skale?

- Piorun ma moc około jednego gigadżula energii, wystarczyłoby na obsłużenie jednego domu przez tydzień. Gdy piorun uderzy w piasek, dzięki niesionej energii topi ziarenka złożone z różnych minerałów i łączy w jedną skałę. I to jest właśnie fulguryt, piasek stopiony w skałę pod wpływem uderzenia pioruna. Sądziłem, że ci się spodoba.

- Podoba mi się. Dziękuję. Sam go znalazłeś?

- Nie. Ale znalazłem sklepik, który je sprzedaje. Musisz uważać, bo fulguryt jest bardzo delikatny, najlepiej trzymaj go w pudełku.

- A jak się znajduje takie fulguryty?

- Wykopuje się je z ziemi, w podobny sposób, jak robią to archeolodzy.

- Mój ojciec byłby czymś takim zafascynowany - zaczęła Jane, urwała jednak. Rozmowa nie potoczyła się w naturalny sposób, przechodząc do poważ-

nego i tak przez nią oczekiwanego tematu związanego z rodziną i narodzinami dziecka, więc sama postanowiła zadać trudne pytania. - Na jak długo zostaniesz?

- Na jakiś tydzień - odparł, gramoląc się na łóżko.

- **I** potem znowu zostawisz mnie samą? - Postawiła akcent na „znowu”.

- Nie będziesz sama. Przecież twoje przyjaciółki mieszkają niemalże za rogiem.

- To nie tak, Mitch. Pierwszy raz w życiu mieszkam zupełnie sama.

- Hm... więc w czym jest problem?

- Jestem przyzwyczajona do tego, że wokół mnie są ludzie. Chodziłam do szkoły z internatem, mieszkałam w akademiku na studiach, a gdy zaczęłam pracować, zamieszkałam z dziewczynami. Nie jestem przyzwyczajona do samotności, nie mam z kim wypić kawy i poplotkować...

- Nadal nie widzę w tym problemu.

- Bo ty jesteś przyzwyczajony do ciągłego ruchu, do samodzielności, a ja nie. - Jane zacisnęła usta. - **I** nie jestem ciamajdą, choć mógłbyś tak powiedzieć. Doskonale daję sobie radę sama, ale lubię być wśród ludzi, dlatego czuję się tu po prostu opuszczona. Jestem w ciąży od siedemnastu tygodni i nie chcę być jak ten kołek w płocie.

- Nic złego nie może się wydarzyć. Wszystko będzie doskonale.

Jane ciągle nie rozumiała, dlaczego był taki zawzięty, dlaczego nie chciał o tym porozmawiać.

Chyba że coś wydarzyło się w jego przeszłości, pomyślała, o czym jej jeszcze nie powiedział.

Nie miała najmniejszego pojęcia, co się działo w głowie Mitcha Hollanda.

- Muszę się napić kawy - oświadczył i wyszedł do kuchni.

Jane nie miała siły pójść za nim. Gdy wrócił z parującym kubkiem, znowu cały był w skowronkach i zmienił temat rozmowy z jego nieobecności i spodziewanego dziecka na zupełnie inny, a Jane nie potrafiła wrócić do dręczących ją problemów.

Podczas pobytu Mitcha zauważyła, że ani razu nie wziął do ręki czasopisma o narodzinach dziecka, które zostawiła na stoliku do kawy. Cieszyła się, że nie odsunął się od niej mimo jej brzucha, że się kochali i że było im dobrze tu i teraz. A jednak nie robili planów na przyszłość i bardzo z tego powodu cierpiała. Nie chciała zostawiać tego tematu na ostatnią chwilę.

- Powinniśmy usiąść i wreszcie coś zaplanować w życiu - oznajmiła wreszcie.

- Co? - zapytał zaskoczony.

- Jestem w drugim trymestrze, łatwo jeszcze mi się wszystko robi i mam doskonałe samopoczucie. Nie siedzę w łazience z głową nad sedesem ani nie poruszam się jak ociężała krowa.

- Ale co chcesz planować?

Czy on naprawdę był taki niedomyślny? Głupi, mówiąc precyzyjniej?

- Na przykład pokój dla dziecka.

Machnął ręką, jakby odrzucał tę myśl.

- Jest jeszcze na to dużo czasu.

- Mitch, trzeba zamówić dużo sprawunków. Wózek. Siedzonko samochodowe dla dziecka. Tego typu rzeczy.

- Za wcześnie. Nie warto kusić losu, planując za wcześnie.

Coś w tonie jego głosu włączyło w jej głowie alarm.

- Mówiłeś, że to niepoważne martwić się tym, że mieszkam sama w ciąży.

A teraz mówisz, że coś może się wydarzyć?

- To jeszcze nie jest dobry moment na przygotowania.

- A kiedy według ciebie nastąpi?

- Jane. Padam na twarz z powodu różnicy czasu po przylocie.

To niemożliwe, pomyślała, przecież minęły już cztery dni od jego przylotu.

- Czy możemy o tym porozmawiać, gdy się porządnie wyśpię?

W piątek ugotowała specjalne danie. I gdy Mitch wydawał się w wesołym nastroju, Jane znowu podjęła niewygodny dla niego temat.

- Mitch, naprawdę musimy poważnie porozmawiać. To mieszkanie...

- Co znowu z tym mieszkaniem?

- Nic. Ale posłuchaj, gdy urodzi się dziecko, będziemy potrzebowali dla niego mnóstwa rzeczy.

- Dla niego? Więc to będzie chłopiec?

266

- Nie wiem, ale tak się mówi: dla niego, dla dziecka.

Mitch wzruszył ramionami.

- No dobrze, jeśli nie podoba ci się to mieszkanie, znajdź takie, które będzie ci odpowiadało i się przeprowadzimy.

- Do kolejnego wynajętego mieszkania?

- A co w tym złego?

- Mitch, ja urodzę dziecko. Nasze dziecko. Chciałabym żyć normalnie.

- Przecież żyjemy normalnie. Wynajem można przedłużyć na kolejne pół roku i nie będzie problemu, o ile nie zaczniesz puszczać głośnej muzyki o trzeciej nad ranem, trzaskać drzwiami i wyrzucać śmieci przez okno.

- Wynajmowanie to taka tymczasowość.

- Chciałabyś coś kupić?

- Po prostu chciałabym normalnie żyć na swoim.

- Jesteś na swoim.

- Ale ciebie tu nie ma.

- Moja praca to ciągłe podróżowanie i dobrze o tym wiesz.

- A gdy wreszcie przyjeżdżasz, to nie możemy poważnie porozmawiać.

- O czym poważnie porozmawiać?

- Tyłe spraw jest niedopowiedzianych. Na przykład czy powiedziałeś swoim rodzicom o dziecku?

Pokręcił przecząco głową.

- Dlaczego nie? Nie jesteście sobie zbyt bliscy?

- Jesteśmy.

- Nigdy nie opowiedziałeś mi o swojej rodzinie. Nic o nich nie wiem, nawet nie widziałam ich na zdjęciach, do licha ciężkiego!
- Dobrze, wkrótce wszystko im powiem.
- A kiedy będę mogła ich poznać?
- Też wkrótce.
- To może zaproś ich do nas w niedzielę na lunch?
- W najbliższą niedzielę? - Tak.
- Nie mogę. Mam samolot do Stanów.
- Słucham? Myślałam, że zostaniesz na dwa tygodnie.
- Wczoraj zadzwonił od mnie Brad.
- Kto to jest Brad?
- Mój kolega z pracy. Jest problem, który muszę pomóc rozwiązać.
- A on sam nie może sobie z nim poradzić?
- Nie, bo mam więcej doświadczenia.
- I jesteś jedyną osobą na świecie, która potrafi to zrobić, tak? Dlaczego czuję się, jakbyś znów ode mnie uciekał?
- Bo masz jakąś paranoję.
- Mitch, ty nie chcesz porozmawiać ze mną o przyszłości.
- A o czym tu dyskutować? Przecież wszystko gra, czyż nie?
- Nie chcesz nawet porozmawiać o wyborze imienia dla dziecka.
- Bo wybieranie imienia zawczasu nie przynosi



**268**

szczęścia. Przestań się tym martwić. - Mitch wstał z fotela, uniósł Jane na rękach, usiadł i posadził ją sobie na kolanach. - Wszystko będzie dobrze. Obsypał ją pocałunkami, które przegnały jej smutki i pozbawiły ubrania. Mitch zaniósł ją do sypialni. Przynajmniej w łóżku nie istniał między nimi ten przeklęty mur niedopowiedzeń. Może jak będę blisko niego, wreszcie uda mi się go zburzyć, pomyślała z nadzieją.

## **ROZDZIAŁ DZIESIĄTY**

Mitch spojrział na wyświetlacz telefonu, zanim odebrał rozmowę. Numer z zagranicy?

Serce zaczęło mu szybciej bić. Jane przecież nigdy do niego nie dzwoniła. Mieli ciche porozumienie, że to on będzie dzwonił, gdy złapie wolną chwilę, a w Anglii będzie przyzwoita pora.

Więc jeśli Jane do niego dzwoniła... to coś musiało się stać.

Przestraszył się... ale to przecież niemożliwe. Niepotrzebna paranoja. To pewnie Harry coś od niego chciała. Na pewno wszystko było w jak najlepszym porządku.

- Mitch Holland, słucham.

- Cześć, Mitch. Mówi Hannah, przyjaciółka Jane.

- Co się stało?!

- Jane jest w szpitalu. Ale nie martw się, wszystko w porządku, choć był pewien problem.

- Jaki problem? Nic się jej nie stało? Czy dziecko jest zdrowe?

- Jane miała krwawienie. Krwawienie.

Przed oczami pojawiła mu się Natalie.

- O mój Boże!

- Wszystko jest dobrze, Mitch. Sama ją przyjmowałam na oddział. Będzie zdrowa. Byłam przy niej, gdy robiono USG płodu. Dla pewności, zatrzymają ją tylko na obserwacji na dwa dni. Jane prosiła, żeby ciebie powiadomić, bo sama nie może dzwonić ze szpitala.

- Dziękuję. - Nie wiedział, co mógł innego powiedzieć, i nadal trzął się, gdy rozmowa się skończyła.

Coś w nim krzyczało, by zostać na miejscu i zająć się pracą, żeby o niczym innym nie myśleć. Ale jego lepsza część wiedziała, że nigdy by sobie nie wybaczył, gdyby zawiódł Jane. Nie było przeszkód, żeby wsiąść w samolot i polecieć do Londynu, iść do szpitala i być przy Jane, gdy ona tego potrzebuje.

W pamięci miał słowa matki: „Dlaczego wreszcie sam sobie nie przebaczysz?”.

Nie miał pojęcia, czy kiedykolwiek uda mu się to zrobić. Ale nie chciał znowu cierpieć i bez względu na to, co ważnego mieli do zrobienia, postawił Jane na pierwszym miejscu.

Otworzył klapkę telefonu, znalazł numer do Hannah w rozmowach przychodzących i nacisnął słuchawkę.

- Hannah? Tu Mitch. Wracam do kraju. W którym szpitalu jest Jane?

- W miejskim na oddziale patologii ciąży. Jej lekarzem jest Kieran Bailey.

271

- Dzięki. Powiedz Jane, że będę tak szybko, jak tylko uda mi się złapać samolot.

- Okej.

Zakończył rozmowę i poszedł szukać Brada.

- Właśnie cię szukałem - odezwał się Brad z uśmiechem. - Zbliży się do nas coś pięknego. Spójrz na to! - Wskazał palcem monitor laptopa. - Ślicznotka, co?

Normalnie w takiej sytuacji adrenalina natychmiast wzburzyłaby mu krew i jak najszybciej chciałby się znaleźć w miejscu, gdzie tworzy się tornado, i zebrać dane, które mogłyby pasować do jego teorii.

Ale nie dziś.

- Sorry, stary, ale musisz sam sobie poradzić. Muszę wracać do Londynu.

- Wszystko w porządku?

- Nie dowiem się, dopóki tam nie pojadę. Przepraszam, że cię tak nagle zostawiam samego, ale naprawdę muszę wyjechać.

- Kiedy wracasz?

- Jak tylko będę mógł. Jane jest w szpitalu. Jej przyjaciółka, pielęgniarka, mówi, że wszystko jest dobrze, ale nie uwierzę, dopóki sam nie zobaczę.

- Tak mi przykro.

- Nie chodzi tylko o nią. - Mitch zmusił się, żeby dodać resztę. - Ale też o dziecko.

- Dziecko?

- Tak, urodzi się w styczniu.

- Nic dziwnego, że fruwasz tak często przez ocean. To twoje pierwsze dziecko?

Tak i nie, ale łatwiej było kiwnąć głową.

- Pamiętam, jak to było z moim. Dostawałem szału z nerwów. Staraj się nie zamartwiać za bardzo. Wszystko dobrze się ułoży. Będziemy tyrać za ciebie.

- Tylko proszę, nie mów o tym innym, dobrze? Bo gdyby... -Mitch nie dokończył zdania. Nie chciał kusić losu.

Żeby tylko wszystko dobrze się skończyło, powiedział do siebie.

Zamiast bezpośredniego lotu, na który musiałby czekać sześć godzin, wybrał połączenie z przesiadkami, byle tylko być o dwie godziny wcześniej w Londynie. Podczas przesiadki udało mu się złapać przez telefon Harry i poprosił ją o zamówienie transportu z lotniska.

Po przylocie wszedł do taksówki i pojechał do szpitala. W kwiaciarni kupił Jane kwiaty. Na oddziale patologii ciąży pojawił się nieogolony, z podkrążonymi z niewyspania oczami i w pogniecionym po podróży ubraniu.

- W czym mogę panu pomóc? - spytała pielęgniarka oddziałowa.

- Przyszedłem odwiedzić Jane Redmond.

- Jest pan członkiem rodziny?

- Spędziłem szesnaście godzin w podróży z Ameryki. Wiem, że wyglądam nieciekawie, ale muszę zobaczyć się z Jane i upewnić, że nic jej nie jest. Ani dziecku.

- Trudno, ale i tak muszę zadać to pytanie jeszcze raz.

- Przepraszam, nie chciałem być nieuprzejmy. Po prostu miałem okropną podróż i bardzo martwię się o Jane. Jestem... ojcem jej dziecka. -

Pierwszy raz powiedział to głośno. - Wiem, że jej lekarzem jest Kieran Bailey. A nazywam się Mitch Holland. Muszę się z nią zobaczyć.

- Najpierw sprawdzę te informacje.

Kilka minut później pielęgniarka przysłała do czekającego w korytarzu Mitcha.

- Jane może się z panem zobaczyć. Ale proszę jej nie przemęczać.

- Dziękuję.

Jane była bardzo blada, wyglądała kiepsko. Mitch położył kwiaty na stoliku.

- Jak się czujesz?

- Co ty tutaj robisz? Nie powinieneś gonić za jakimiś burzami?

Wyglądasz okropnie.

Mitch usiadł na brzegu łóżka i ujął dłoń Jane.

- Wiem, i tak samo się czuję. Byłem w podróży przez szesnaście godzin i nie zmrużyłem oka. Co ci się stało?

- Zaczęłam płacić. Bałam się, że mogę...

Nie przejmując się zasadami odwiedzin, Mitch przysunął się bliżej i wziął ją w ramiona. Trzymał ją delikatnie, mając nadzieję, że przekaże jej trochę własnej siły. Po chwili położył ją z powrotem na poduszce i podał szklanekę z wodą.

- Hannah powiedziała przez telefon, że wszystko

jest w porządku, ale musiałem sam się o tym przekonać. Naprawdę już wszystko w porządku? Jane skinęła głową.

- Więc co spowodowało plamienie?

- Nazywają to abrupcją. To niewielkie uszkodzenie łożyska. Czasem po prostu się zdarza. Nic nie zrobiłam, żeby się na to narazić, nie podnosiłam żadnych ciężarów ani nic takiego.

- I co teraz? Będziesz miała jakąś operację?

- Nie. Powiedziano mi, że to niewielkie rozdarcie i samo się zagoi. Dziecko jest zdrowe. Muszę przez tydzień leżeć w łóżku. Dlatego przeprowadzam się do dziewczyn.

- Dlaczego?

Jane przewróciła oczami.

- Czy to nie jest oczywiste? Bo nie chcę być sama. Tak na wszelki wypadek.

- Czy to może się powtórzyć?

- Mam nadzieję, że nie. Wypisują mnie stąd jutro i Hannah ma wolny ranek, więc przywiezie mi rzeczy z mieszkania.

- Przecież wszystkie twoje przyjaciółki pracują i przez większość dnia i tak będziesz sama.

- To i tak lepiej niż być samą przez całą dobę.

- Nie chcę, żebyś spała w tym małym łóżku. Nie będzie ci w nim wygodnie, szczególnie teraz.

- Wolę to, niż mieszkać w samotności - powtórzyła swój argument.

- Nie będziesz sama. Ja wezmę wolne.

- Ty? - wykrzyknęła ze zdziwienia.

- Ja. I sprawię, że cały czas będziesz odpoczywać w łóżku.

Jane pokręciła głową.

- Mitch, nie sędę, żeby to był najlepszy czas na seks.

Przewrócił oczami.

- Wcale o tym nie myślałem. Potrafię z tobą spać bez kochania. Tylko nie pomyśl sobie znowu, że cię nie pragnę, bo masz duży brzuch. Chcę powiedzieć, że opieka nad tobą to moja rola.

- Nie robisz tego z obowiązku?

- Nie przekrecaj moich słów. Chcę się tobą opiekować i koniec.

- Naprawdę weźmiesz wolne?

- Dopóki nie poczujesz się dobrze.

- A potem?

- Na razie skoncentrujmy się na tym, co jest teraz. A teraz to ja muszę pojechać do domu przespać się choć kilka godzin, bo padam na twarz. Odwiedzę cię po południu. Coś ci przynieść?

- Nie.

- Okej. Zadzwoń, jakbyś zmieniła zdanie. Nie martw się tym, że mnie obudzisz. Jestem tu dla ciebie. Cieszę się, że wszystko w porządku.

Mitch pojawił się w szpitalu po południu ogolony, wykąpany i w świeżym ubraniu. Przyniósł Jane winogrona i kilka czasopism.

- Żebyś się nie nudziła. O której powinienem cię jutro odebrać?



- Lekarz zbada mnie o dziesiątej.
- Mam wtedy być przy tobie?
- Nie trzeba. Pół godziny później będę wolna.
- To będę o wpół do jedenastej.

Mitch przyszedł odebrać Jane punktualnie. Poprosił, by poczekała w holu, gdy on pójdzie po samochód. Tym razem nie był to szpanerski sportowy kabriolet, tylko normalny samochód rodzinny.

- Wynająłeś go?
- Do takiego będzie ci łatwiej wsiąść niż do niskiego roadstera z kubełkowymi fotelami.

Jane wzruszyła się niemal do łez, że zrezygnował dla niej ze swoich preferencji. Jeszcze bardziej chciało się jej płakać, gdy weszli do mieszkania. Mitch nie tylko posprzątał i zmienił pościel, ale podłączył pralkę, zrobił zakupy, dokupił kilka poduszek i przeniósł telewizor do sypialni.

- Leżenie w łóżku to okropna nuda, więc kupiłem ci coś do czytania. - Mitch wskazał stos magazynów leżących na stoliku nocnym koło łóżka. - i do oglądania. - Skinął głową w stronę zapasu filmów na DVD.

Jane zauważyła, że były to filmy dla kobiet - dramaty kostiumowe i komedie miłosne, których sam za żadne skarby nie chciałby oglądać.

- Ładuj się do łóżka - zarządził stanowczo, odkrywając kołdrę.

Potem podał jej coś do picia, usiadł koło Jane i plotkował z nią wesoło. Zrobił jej lunch i przyniósł na tacy. I choć nie rozmawiali o dziecku, to miło

spędzali czas i Mitch nie okazywał znużenia. Nie wychodził do salonu, żeby popracować. Grał z Jane w gry planszowe, w scrabble, oglądali wspólnie filmy. Ani razu nie narzekał, że zawala swoją pracę. Z mieszkania wychodził jedynie wtedy, gdy odwiedzała ją przyjaciółka. Wykorzystywał te chwile na zrobienie zakupów lub spacer.

- Chyba mogę już wstać, ubrać się i trochę pochodzić. Nie mogę ciągle leżeć w łóżku w koszuli nocnej.

- Jeśli lekarz nakazał leżenie, to masz leżeć.

- Mitch obrzucił ją tym swoim przeciągłym spojrzeniem. - A poza tym bardzo cię lubię w koszuli nocnej. Jak tylko wydobrzejesz do końca, będziemy mieli wiele do nadrobienia... Przestań, bo będę musiał wziąć zimny prysznic.

- Co mam przestać?

- Tak na mnie spoglądać. A teraz idę sobie zaparzyć kawy, a tobie ziołowej herbaty, a jak wrócę, to masz zachowywać się bardziej przyzwoicie - poprosił Jane ze śmiechem.

Też roześmiała się.

- A jeśli cię nie posłucham?

- To wtedy wezmę zimny prysznic, a ty do wieczora będziesz musiała oglądać filmy science fiction

- pogroził jej.

Uwielbiała go, gdy tak się z nią droczył. Pod koniec tygodnia leżeli w łóżku przytuleni do siebie i rozmawiali.

- Dziękuję, że się mną tak wspaniale opiekowałeś.

Byłeś dla mnie cudowny. Nie spodziewałam się, że przyjedziesz od razu po telefonie Hannah.

- To uważasz, że na co dzień jestem taki okropny?

Po tonie jego głosu Jane wywnioskowała, że sprawiła mu przykrość.

Pogłaskała go po policzku.

- Wcale nie. Tylko że ty tak do końca nie zaakceptowałeś... tej sytuacji.

O rany! - pomyślała Jane. Znowu uniknęłam tego słowa na „d”.

- To był dla mnie trudny okres - przyznał Mitch.

- Chcesz o tym porozmawiać?

- O czym?

- O tym, co cię gnębi. Czuję, że jesteś spięty.

- To sprawa nowej pracy i nowej szefowej. Wszystkim chce własnoręcznie zarządzać i jest bardzo wymagająca - wyjaśnił od niechcienia.

Jane wiedziała, że znowu chce zmienić temat. Tym razem postanowiła być bardziej bezpośrednia.

- Opowiedz mi... - zaczęła spokojnym głosem.

- Nie wiem, czy powinienem, czy nie... nie chcę cię martwić.

Jane zeszywniała.

- Spotykasz się z kimś?

- Nie, to nie to. Tylko nie chcę, żebyś mnie źle odebrała.

Tym razem faktycznie się przejęła.

- Teraz to wręcz musisz mi wszystko opowiedzieć oznajmiła stanowczo.

- Dwa lata temu byłem zaręczony. Miała na imię

Natalie. Znałem ją od czasów studiów. Pracowaliśmy nawet jakiś czas razem, też była meteorologiem jak ja. I wtedy dostałem propozycję wyjazdu na Antarktydę na sześć miesięcy, by robić badania do pracy doktorskiej.

- Masz doktorat?

- To nie ma znaczenia.

- No dobrze. I co dalej?

- Obgadałem to z Natalie i ona zgodziła się, żebym pojechał, to była doskonała szansa na rozwój mojej kariery. Byłem w bazie polarnej już od miesiąca, gdy Natalie zadzwoniła i powiedziała, że jest w ciąży. Pewnie za bardzo szaleliśmy mojej ostatniej nocy w Anglii. Nie planowaliśmy dziecka.

- A ty nie mogłeś znieść myśli o uwiązaniu się do jednego miejsca?

Mitch pokręcił głową.

- Wcale nie o to chodziło. Mieliśmy zamiar się pobrać, nawet ceremonia kościelna była zamówiona na miesiąc po moim spodziewanym powrocie z Antarktydy. To zresztą nie miało znaczenia, mogłem przecież wziąć urlop, mogliśmy przyspieszyć ślub albo odłożyć na później, po urodzeniu dziecka. Wydawało mi się, że mam mnóstwo czasu, żeby to wszystko ułożyć i nawet podobało mi się, że zostanę ojcem. Miałem wtedy dwadzieścia osiem lat, w sam raz, żeby się ustatkować i założyć rodzinę. Mitch nie nosił obrączki, żył na walizkach, nie z żoną i z niemowlęciem - więc musiało stać się coś okropnego, pomyślała Jane. Czy Natalie znalazła

sobie kogoś innego, gdy on był na Antarktydzie? Czy go rzuciła?

- Trzy tygodnie później... - W jego głosie czuć było straszne cierpienie. -

Trzy tygodnie później zadzwoniła do mnie matka. Natalie umarła.

Jane nie spodziewała się takiego końca historii.

- Co? Mitch! Tak mi... - Głos się jej załamał. - Nie wiem, co powiedzieć.

- Jeszcze nie skończyłem. Najprawdopodobniej miała ciążę pozamaciczną, która rozerwała jajowód. Umarła na stole operacyjnym.

- O mój Boże!

Nic dziwnego, że czasem tak dziwnie się zachowywał. Wiadomość o szpitalu musiała być dla niego jak *déjà vu*. Nic dziwnego, że gdy Hannah do niego zadzwoniła, natychmiast wrócił z Ameryki. Naruszenie łożyska nie było tym samym co ciąża pozamaciczna, ale niosło podobne zagrożenia. I obydwie te schorzenia objawiały się krwawieniem.

- Potem było jeszcze gorzej. Nadeszła burza śnieżna i nie mogłem opuścić bazy. Samolot nie mógł wylądować. Chciałem iść pieszo, ale szef się nie zgodził, bo nie chciał ryzykować życia ludzi. Byliśmy uwięzieni ponad tydzień i nie zdążyłem nawet na pogrzeb. Nie mogę sobie tego wybaczyć.

- Przecież to nie była twoja wina, że nie mogłeś wrócić. I nie przez ciebie Natalie umarła.

- Gdybym był w Anglii, a nie na Antarktydzie, byłbym z Natalie, gdy poczuła pierwszy ból. Zawiózłbym ją do szpitala. I mogłaby żyć.

- Przykro mi, że przeszedłeś przez takie cierpienie i przepraszam, że to ja otwarłam twoje dawne rany.

- To nie twoja wina, ale gdy powiedziałaś mi, że jesteś w ciąży, wróciły do mnie wszystkie potworne wspomnienia i ja po prostu... się wyłączyłem. A teraz znasz całą prawdę. Przepraszam, że nie zachowywałem się tak, jak powinienem. Uciekałem, zamiast cię wspierać. Chowałem głowę w piasek, udając, że to nie moja sprawa.

- Dlatego nie chciałeś robić planów i rozmawiać o dziecku?

- Wtedy robiłem plany. Czytałem w internecie o ciąży, porodzie i opiece nad noworodkiem. Szukałem imion dla dziecka. Myślałem o przystrojeniu pokoju. Tym razem nie chciałem już nic planować, na wypadek gdybym znowu przyniósł pecha. I wtedy Hannah zadzwoniła...

- Już dobrze - uspokajała go Jane miękkim głosem. - Wszystko będzie dobrze, zobaczysz. Przejdziemy przez to spokojnie. Razem.

## **ROZDZIAŁ JEDENASTYY**

Następnego dnia rano Mitch wreszcie pozwolił Jane wstać z łóżka, ale nadal nie zgadzał się, by wykonywała choćby drobne prace.

- Jutro mam wizytę w przychodni szpitalnej - oznajmiła, spoglądając na kalendarz.

- Badanie kontrolne?

- Nie. Za to chcę cię o coś poprosić. Pójdiesz ze mną na badanie USG? Przejęcie wymieszane z paniką pojawiło się na twarzy Mitcha:

- Posłuchaj, Mitch. Wiem, że nie chcesz robić żadnych planów i nie będę cię już nagabywać o kolory pokoiku dziecka ani wybieranie imion. Ale pójdźcie ze mną na badanie USG dużo by dla mnie znaczyło.

- Jedna część mnie chce iść, a druga nie chce. Przysięgam, że nie odrzucam dziecka. Po prostu panicznie się tego boję. Jeśli pokocham to dziecko i jeśli pozwolę sobie na planowanie przyszłości, co będzie, gdy znowu coś nie wyjdzie?

- Nikt nie może zagwarantować ci, że wszystko będzie okej. Ale musisz wierzyć, że tak będzie.

- Dobrze, pojedę z tobą na to badanie.

Następnego dnia Mitch pojechał z Jane na badanie. Zaparkował samochód i weszli do przychodni. Rozejrzał się po poczekalni. Dlaczego wszyscy przyszli ojcowie byli tacy spokojni? Czy może, tak jak on, na zewnątrz okazywali spokój, a w środku przeżywali katusze i umierali z przerażenia, że mogą stracić dziecko albo żonę?

I wtedy lekarz powiedział z progu gabinetu:

- Jane Redmond. Nadszedł czas prawdy.

Bo gdy przejdą przez te drzwi, nie będzie już odwrotu. Jane spojrzała na niego i czekała. Gdy nie wstał, w jej oczach ukazał się smutek.

- No to do zobaczenia za chwilę.

Była już przy drzwiach, gdy rzucił się do niej.

- Jane!

- Słucham?

- Przepraszam. Zachowuję się jak kretyn.

- Nie zaprzeczę.

W gabinecie położyła się na kozetce, a lekarka nałożyła jej żel na brzuch. Kamera USG przesunęła się, posyłając sygnał na monitor. I wtedy Mitch zobaczył ich dziecko.

Obraz był ziarnisty i czarno-biały, ale dość wyraźnie było widać główkę, rączki, nóżki. Wpatrywał się w ekran jak osłupiały, w ogóle nie słyszał, co mówiła lekarka.

- Mitch!



Poczuł silne szturchnięcie w bok.

- Słucham?

- Robisz mi krzywdę.

Nie zdawał sobie sprawy, że tak silnie ściska dłoń Jane. Natychmiast puścił jej palce.

- Przepraszam. Jane, to nasze dziecko.

- Mhm.

Spojrzał na lekarkę.

- Czy wszystko jest w porządku?

- Jak najbardziej. Sprawdziłam łóżysko i nie ma żadnych uszkodzeń.

Dziecko rozwija się prawidłowo. Nie ma żadnych nieprawidłowości w sercu, w mózgu ani w innych organach, nie ma rozszczepu kręgosłupa.

Ma za to dziesięć paluszków u nóg i dziesięć u rąk, więc nie ma się czym martwić. Czy chcielibyście państwo poznać pleć dziecka? Niektórzy rodzice wolą niespodziankę, ale...

- Tak, chcielibyśmy. - Jane i Mitch spojrzeli po sobie.

- Więc śpieszę donieść, że będzie to dziewczynka.

- Dziewczynka... Będzie miała na imię Chloe - wyszeptał do ekranu.

- Chloe?

- Po prostu to imię pojawiło mi się nagle w głowie.

- Podoba mi się, ale jako drugie powinniśmy wybrać imię któreś z naszych mam.

- Nie ma sprawy. Jane, teraz skoro już wiem, że wszystko jest w najlepszym porządku, to muszę cię dokądś zabrać.

285

- Dokąd?

- Do Sussex, do mojej rodziny. Nie będziemy u nich długo. Wyjedziemy w południe, przejdziemy się po plaży, wpadniemy w odwiedziny i z powrotem do Londynu.

- Czy to nie będzie szok dla twoich rodziców, że zobaczą mnie po raz pierwszy i od razu z... - Jane wskazała na brzuch.

- Nie przejmuj się niczym. Będą wręcz zachwyceni.

- A nie uznają mnie za substytut...?

- Natalie? Skądże znowu. Mama od długiego czasu powtarza mi, że powinienem sobie sam przebaczyć i żyć dalej. Ucieszą się, gdy ciebie zobaczą. Przestań się martwić, bo znowu skończysz na przymusowym wylegiwaniu się w łóżku.

- I pokażemy im zdjęcia z USG i film?

- Oczywiście.

Gdy tylko wyszli z przychodni i wsiedli do samochodu, Mitch zadzwonił do Sussex. Po krótkiej rozmowie uśmiechnął się do Jane.

- Już szykują tłustego prosiaka.

- Strasznie śmieszne.

Po spacerze po plaży nadszedł czas na odwiedziny u rodziny Mitcha.

- Jane, to jest moja mama, Elaine, i mój tata, George. Mamo, tato, to jest Jane.

Speszona Jane wyciągnęła rękę.

- Miło państwa poznać.

Elaine nie podała jej ręki, za to objęła ją serdecznie i uścisnęła.

- Nam też jest miło, Jane.

Jane była niemalże pewna, że Mitch nie powiedział rodzicom o niej aż do dziś, a co dopiero o jej ciąży. A jego rodzice podeszli do niej bardzo ciepło, bez rezerwy, niezadowolenia, bez zadawania kłopotliwych pytań. Elaine miała łzy w oczach, gdy oglądała zdjęcia USG. Zaprosiła Jane do kuchni, choć nie pozwoliła jej nic robić.

- Powinnaś, skarbie, siedzieć z lekko uniesionymi stopami ku górze.

Mitch wspomniał, że leżałaś przez tydzień. Gdyby tylko powiedział mi o tym wcześniej, przyjechałabym natychmiast ci pomóc.

- Przepraszam.

Elaine uśmiechnęła się i znowu ją przytuliła.

- To nie chodzi o ciebie, kochanie, tylko o niego. Dzisiaj powiedział do nas więcej słów niż przez cały zeszły rok, i zawdzięczamy to tobie. To były dla nas trudne dwa lata. Wiesz o...?

- Natalie? Tak. I nie chcę zająć jej miejsca. Jestem sobą.

- Wiem, kochanie. I chcę cię bliżej poznać. Obiecuję, że nie będę teściową wciskającą wszędzie swoje trzy grosze. Ale chciałabym, żebyś mnie od czasu do czasu odwiedzała.

- Z przyjemnością. Możemy razem zjeść lunch.

- I zrobić sobie dzień pod znakiem spa.

- Oczywiście.

- Czy po urodzeniu dziecka zamierzasz wrócić do pracy?
  - Jeszcze o tym nie rozmawiałam z Mitchem. Z pewnością chciałabym wrócić choćby na pół etatu. Kocham moją pracę i wierzę, że nie przeszkodzi ona w wychowywaniu dziecka.
  - A czym się zajmujesz?
  - Jestem archiwistką, zajmuję się starymi dokumentami.
  - To musi być interesujące. Jane roześmiała się.
  - Niektórzy ludzie myślą, że siedzenie przy biurku ze stosem dokumentów to potworna nuda.
  - Niektórzy ludzie są o wiele bardziej nudni, gdy zaczynają mówić o współczynnikach, wektorach i prędkościach wiatrów. Nie słuchaj go. Opowiedz mi więcej o swojej pracy.
- Gdy Jane skończyła, Elaine wyjaśniła powody swojego zainteresowania:
- Wiesz, zawsze chciałam poznać historię tego domu. Jest najstarszy w naszej wiosce. Ciągle sobie mówię, że zajmę się tym w czasie letnich wakacji, ale nigdy mi się to nie udaje.
  - Mogłabym pani pomóc - zaoferowała Jane.
  - Świetnie. To byłaby dobra wymówka, żeby się spotkać.
  - Nie potrzebuje pani żadnych wymówek. Ja tak się... cieszę. Mitch nic państwu nie mówił o mnie i bałam się, że może państwo mnie nie...
  - Nie zaakceptujemy? - przerwała jej Elaine.

- Dzięki tobie zniknęły mu cienie smutku pod oczami. Mitch nie jest łatwym człowiekiem i pewnie będą chwile, kiedy będziesz chciała go udusić. Ale jest dla mnie jasne, że sposób w jaki na niego patrzysz, świadczy o tym, że go kochasz. A to mi zupełnie wystarczy. - Elaine znowu przytuliła Jane. - Przestańmy już o tym mówić, bo znowu łzy lecą mi do oczu. Miłość.

Wtedy dotarło to do Jane. Mitch nie powiedział, że ją kocha. Ale ona też tego mu nie powiedziała. A przecież go kochała.

Mimo że był czasem nie do zniesienia i zamknięty w sobie.

Jane nie potrafiła dokładnie ustalić momentu, kiedy fizyczny pociąg do niego zmienił się w zauroczenie, a kiedy przerodził się w miłość. Choć ostatnie miesiące były trudne i Mitch doprowadzał ją do szaleństwa - to zakochała się w nim po uszy. I wiedziała, że będzie to trwała miłość, taka, która nigdy nie przeminie.

- Twój rodzice są uroczy - powiedziała Mitchowi w drodze powrotnej do Londynu. - I nawet nie wiesz, jakie to szczęście mieć ustatkowaną rodzinę.

- Sądziłem, że nie masz żadnych obiekcji, co do swojej rodziny.

- Nie mam. Ale byłoby miło zobaczyć się z nimi od czasu do czasu.

Zwykle nawet nie mam pojęcia, gdzie akurat są, poza ogólnikowym stwierdze-

niem, że w Turcji czy w Sudanie. Przynajmniej mam nadzieję, że nasze dziecko będzie miało bliski kontakt z dziadkami z Sussex.

Mitch wyciągnął rękę i uściskał jej dłoń.

- A co twoi rodzice powiedzieli, gdy im opowiedziałas o nas?

- Niewiele. Ucieszyli się. Są potwornie zajęci swoją pracą.

Tak jak Mitch. Jane miała nadzieję, że będzie poświęcał swojej córce więcej czasu niż jej rodzice swojej. Drobnymi krokami pracuje nad nim, żeby tak się stało.

## **ROZDZIAŁ DWUNASTY**

Pod koniec tygodnia Jane wróciła do pracy na dwa dni. Ucieszyła się, że znalazła się znowu w archiwach, choć szefowa nie pozwoliła jej podnieść nic cięższego od kartki papieru.

- Proszę, żebyś już poszła sobie do domu. Zrozumiano? - zarządziła jak zawsze serdeczna dla niej Shelley.

- Zrozumiano.

- To dobrze. Czy Mitch zostanie przy tobie na dłużej?

- Taką mam nadzieję.

Odebrał ją z pracy i pospacerowali wzdłuż rzeki, trzymając się za ręce.

Zjedli lekki lunch i skierowali się do domu. Mitch wydawał się już bardziej ustatkowany i choć nie miał zamiaru wybrać się z nią, by kupić rzeczy dla dziecka, to Jane czuła, że już w pełni zaakceptował dziecko.

Wracając do domu w poniedziałek i rozmyślając o przyszłości, Jane zawołała w progu:

- Kochanie, wróciłam!

- Jestem tutaj!

Jane skierowała się do sypialni, skąd doszedł jego

## 291

głos i stanęła w drzwiach jak zamurowana, widząc, co on robi.

- Dlaczego się pakujesz?

- Bo już czujesz się znacznie lepiej, chodzisz do pracy na pełne godziny, a ja mam zadanie do realizacji, którego data zakończenia nieubłaganie się zbliża.

- Czyli znowu wyjeżdżasz?

Cóż, sama się oszukiwała, że on wreszcie zostanie przy niej na stałe.

- Jane, taką mam pracę. I dobrze o tym wiesz. Tak zarabiam na życie. Jeśli będę ciągle brał wolne, to będziemy żyli o wodzie i suchym chlebie.

- Ja też zarabiam pieniądze i doskonale poradzę sobie z płaceniem za połowę naszych rachunków.

- Wiem, że sobie poradzisz. Ale pamiętaj o moim zawodzie, jestem łowcą burz.

- Mhm.

- Przecież wrócę.

- Jasne. Jak tylko szybko się da.

Jane zmusiła się do uśmiechu, ale w środku wcale się nie śmiała.

- Raczej nie odprowadzę cię na lotnisko.

- Nie szkodzi.

Właśnie że szkodziło, ale Jane była zbyt zmęczona, żeby dyskutować na ten temat.

W piątek Mitch ciągle pił kawę. To wszystko było pokręcone. Przecież uwielbiał swoją pracę. Miał dużo do roboty, szczególnie że wziął tyle nieplanowanego



wolnego, by zająć się Jane. Więc dlaczego praca nie sprawiała mu przyjemności jak dawniej? Gdzie podziała się adrenalina wydzielająca się, gdy tylko spojrzał na monitor i zobaczył, że formuje się burza?

Dlaczego to wszystko wydawało się teraz takie... mało ważne?

- Jak leci? - zapytał się Brad, siadając koło niego i częstując pączkami.

- Świetnie. - Skłamał Mitch.

- Mam na myśli dom. Wszystko w porządku z Jane i z dzieckiem?

- Obydwoje są w dobrej formie. Byliśmy na USG w zeszłym tygodniu. Będę miał córkę.

- Czuję, że ty nie jesteś tu teraz z nami, prawda?

- To nie tak. Lubię to, co robię, i chcę dokończyć nasz projekt.

- Nikt tego nie kwestionuje. Ale dziś nie zrobiłeś ani jednego zdjęcia.

- To prawda. Ale ta praca mi bardzo odpowiada, więc nie rozumiem, dlaczego tak... - westchnął i ugryzł pączka - tak się ciągnie.

- To dlatego, że tęsknisz za domem. Za Jane. Za dzieckiem. - Brad poklepał go po plecach. - I będzie jeszcze gorzej, gdy berbecię się urodzi. Dzieci szybko rosną, moje najmłodsze idzie do liceum, a nawet nie spostrzegłem, jak szybko minął czas, odkąd najstarsze szło do zerówki.

- No tak. - Mitch dokończył pączka. - Lepiej zabierzmy się do pracy.

- Jasne.

Ale uczucie pustki go nie opuściło. Nic mu się dookoła nie podobało i wszystko porównywał z domem. Przyzwyczał się do bliskości Jane w nocy, do jej ciała wtulonego w jego ciało, do jej ciepła.

Czuł, że przestał się nadawać do takiej włóczęgow-skiej pracy.

Powinien być teraz w Londynie. Z Jane. Z kobietą, którą kochał.

Tak długo zabrało mu zdanie sobie z tego sprawy.

Zapragnął natychmiast do niej zadzwonić - ale w Anglii była noc i nie powinien jej budzić, bo bardzo potrzebowała snu. SMS nie spełni swojej roli. Chciał jej to powiedzieć, stając z nią w twarz w twarz. Chciał jej powiedzieć, że wreszcie uwolnił się od demonów. Ze ją kocha.

I poprosić, by za niego wyszła.

Zaczął liczyć dni pozostające do powrotu do domu. Trzymał się jakoś dzięki temu, że cieszył się ze znalezienia dla niej idealnego pierścionka zaręczynowego - wykonanego z platyny i przyozdobionego pojedynczym okrągłym brylantem. Ale nie takim zwykłym diamentem. Ten był błękitny. Miał kolor oczu Jane.

Mitch nie poinformował Jane, kiedy wraca, bo chciał jej zrobić niespodziankę. Kupił największy bukiet kwiatów i wsiadł w metro do Isleworth.

Mieszkanie wydało się dziwnie ciche, gdy otworzył drzwi. Zwykle grała w nim muzyka. Może Jane poszła w odwiedziny do przyjaciółek? Mitch

postawił walizki na podłodze w korytarzu, włożył kwiaty do umywalki, zanim je ofiaruje w odpowiedni sposób przy okazji wręczenia ukochanej aksamitnego pudełeczka.

Coś jednak nie spodobało mu się w kuchni. Jakby czegoś... brakowało.

Z zamyśloną twarzą wszedł do salonu.

I wtedy wszystko zrozumiał.

Brakowało kwiatów.

I poduszek.

Serce stanęło mu na moment. Czy to znowu jakaś paranoja? Ona chyba go nie... jak mogłaby to zrobić?

Poszedł do szaf garderobianych w sypialni. Otworzył drzwi. Były puste.

Złapał za telefon i wybrał numer komórki Jane. Bez żadnych wstępów zapytał:

- Gdzie jesteś?

- A gdzie ty jesteś? - usłyszał w odpowiedzi.

- W naszym mieszkaniu.

- Aha.

- Co to znaczy „aha”?

- Przeprowadziłam się z powrotem do domu.

- Jakiego domu?

- Do dziewczyn.

- Nie mogę w to uwierzyć - mruknął przez zaciśnięte zęby. - Dlaczego?

Kiedy? I dlaczego mi nie powiedziałaś, że masz zamiar to zrobić?

- „Dlaczego” jest oczywiste. „Kiedy” - dzień po

twoim wyjeździe. I nie powiedziałam ci, bo ty nie powiedziałeś mi, kiedy wrócisz. Nie chciałam kłócić się z tobą na odległość, ale zamierzałam ci powiedzieć, zanim dotrzesz do mieszkania.

- Nie rozumiem, dlaczego tak zrobiłaś. Musimy porozmawiać.

Przyjeżdżam do ciebie.

- Nie chcę się kłócić, Mitch.

- Ja też nie.

- Więc przestań na mnie krzyczeć. Naprawdę na nią krzyczał? Przeczesał palcami włosy.

- Przepraszam. Nawet sobie z tego nie zdawałem sprawy. Po prostu... Tak się cieszyłem, że wracam do domu. Do ciebie. A ty wyprowadziłaś się, nic mi o tym nie mówiąc.

- Przyjadę do ciebie zaraz. Porozmawiamy. Ale chcę, żebyś wiedział jedno: nie zostaję w tamtym mieszkaniu.

Był głęboko zamyślony, gdy usłyszał dzwonek do drzwi.

- Dlaczego nie użyłaś klucza?

- Bo już tu nie mieszkam. Ale dzięki za przypomnienie. - Jane wyciągnęła klucze z torebki. - Proszę, są twoje.

- Nie. - Mitch potrząsnął głową. - To nie miało tak być. Nie rozumiem, co tu się stało.

- Usiądźmy - zaproponowała Jane.

- Więc wytłumacz mi, co się stało. Sądziłem, że wszystko jest okej.

- Miałam dużo czasu na przemyślenie pewnych

rzeczy. Myślałam o dziecku, o tym, jakie chciałabym mieć życie. - Spojrzała mu prosto w oczy i smutek w jej twarzy przyprawił go o ból w piersiach. - i to nie jest to, Mitch. Nie chcę spędzić całego życia, czekając na ciebie, kiedy wrócisz ze swoich łowów. - Gdy miał zamiar zaprotestować, Jane podniosła dłoń. - Wysłuchaj mnie do końca. Wiesz, w jakich warunkach dorastałam. Kocham moich rodziców i wiem, że oni mnie też kochają, tyle że ich praca zawsze stała na pierwszym miejscu. Początkowo zabierali mnie i Aleksa z sobą, ale potem wysłali nas do szkół z internatami. Oczywiście, dzięki temu nauczyłam się samodzielności i polegania na sobie. I oczywiście jestem niezwykle dumna z nich, bo są wspaniałymi ludźmi, ale czasem myślę, że wolałabym mieć normalny dom, być normalną nastolatką, drącą z rodzicami koty o trwałą, o młodzieżowe ciuchy, zbyt silny makijaż i zbyt głośne słuchanie muzyki. Zawsze brakowało mi normalnego życia i normalnej rodziny. I nadal takiej rodziny chcę dla siebie, Mitch. A z tobą jest to niemożliwe.

- Oczywiście, że jest możliwe.

Mitch zacisnął palce na aksamitnym pudełku w kieszeni.

- Mitch, teraz tak tylko mówisz. Ale ja wiem, jak to jest. Pobędziesz tutaj przez jakiś czas, a potem zacnie cię nosić i znowu wyjedziesz. Nie mam zamiaru cię prosić, żebyś porzucił swoją pracę, wiem, ile ona dla ciebie znaczy, i wiem, kim jesteś. Mój brat Alex jest taki sam jak ty. Jednak ja nie. Chcę

żyć w jednym miejscu. Dla mnie najważniejsze jest teraz dziecko i nie chcę, żeby dorastało tak jak ja, włóczęc się po świecie za tobą albo siedząc ze mną w domu i czekając z utęsknieniem na ojca.

- Jane, oczywiście, że będzie mnie widywać.

- Gdy zjawisz się w kraju, ale to nie będą długie okresy. To nie to samo, co bycie ojcem na stałe. Chcę normalnego domu dla mojego dziecka. Dlatego wróciłam do dziewczyn. Trzy matki chrzestne to wspaniałe wsparcie dla mnie i dla dziecka, kiedy tylko będzie potrzebne. I moja córka będzie otoczona miłością ze wszystkich stron.

- Nie musisz sama zajmować się dzieckiem. Ja tutaj będę.

Jane pokręciła głową.

- Nie będziesz. Jeśli wszystko porzucisz, to szybko się znudzisz.

Zatęsknisz za adrenaliną i uganianiem się za burzami.

Mitch zignorował jej słowa i dokończył swoją poprzednią wypowiedź:

- Uwierz mi, dam dziecku miłość, jakiej będzie potrzebowało.

- To tylko twoja linia obrony. Tak będzie lepiej, nie będziesz uwiązany, nie będziesz czuł się jak w pułapce.

- Więc co chcesz mi powiedzieć? Że to koniec? Że nie zobaczę już... - zaschło mu w ustach - ciebie ani mojego dziecka?

- Nie. Oczywiście, że będziesz widywał się z córką, gdy tylko zjawisz się w domu. Nigdy nie

odmówię ci dostępu do dziecka. Ani twoim rodzicom. Jeśli chcesz oficjalnego potwierdzenia tego przez sąd, to proszę bardzo.

- Ale, Jane...

Mitch wyciągnął pudełko z kieszeni. Nawet go nie dostrzegła.

- Nie ma żadnych „ale” - odpowiedziała cichym głosem. - Postanowiłam tak zrobić, bo cię kocham.

Ona go kocha? I zostawia go właśnie dlatego, że go kocha? Przecież to jest zupełnie pozbawione sensu!

- Wiem, że trzymanie cię w jednym miejscu sprawia, że jesteś nieszczęśliwy. Więc wypuszczam cię na wolność. Możesz teraz do woli gonić za swoimi burzami i marzeniami. - Jane wstała, podeszła do niego i pocałowała go w policzek. - Żegnaj, Mitch.

To nie działo się naprawdę. To nie tak miało być. Przecież chciał dać jej kwiaty, uklęknąć na kolanie i powiedzieć, że ją kocha. Poprosić, by stworzyła z nim jedność, wychodząc za niego za mąż.

Ale wtedy właśnie zatrzasnęły się drzwi.

A on nadal nie mógł ruszyć się z miejsca.

## **ROZDZIAŁ TRZYNASTY**

Nie tak to sobie Mitch wyobrażał. Jane wyszła, zanim zdążył powiedzieć, co do niej czuje. Nie powiedział, że to do tej pory nie zdawał sobie sprawy, jak bardzo ją kocha i jak ważne dla niego jest ich dziecko oraz że nie chce już być daleko od niej.

A jeszcze gorsze było to, że nie zdołał się jej oświadczyć.

Wreszcie zapragnął osiąść w Londynie na stałe, założyć normalną rodzinę, wspólnie wychowywać dziecko. Jak mógł ją przekonać, by uwierzyła, że ma poważne zamiary? Wiedział, że same słowa nie wystarczą. Musiał jej to udowodnić czynami, a nie tylko wręczeniem błękitnego brylantu.

Rozmyślając podczas długiej, bezsennej nocy, wymyślił plan.

Skoro Jane chciała mieć prawdziwy dom, to on zaoferuje jej to, czego ona pragnie.

No to do dzieła. Teraz tylko będzie potrzebna pomoc do opracowania szczegółów.

Trzy rozmowy telefoniczne załatwiły dwa punkty planu Mitcha. Trzeci punkt wymagał odrobiny badań



i mnóstwo szczęścia - bo wszystko musiało być załatwione przed Bożym Narodzeniem, czyli w ciągu niecałych czterech miesięcy.

Miał jedynie nadzieję, że robi właściwą rzecz. I że to wystarczy, by przekonać Jane o jego prawdziwych intencjach.

Cały ranek szukał w internecie nieruchomości. W południe miał sześć ciekawych lokalizacji, ale gdy je zwiedził, natychmiast z nich zrezygnował.

Minął tydzień bez żadnych efektów. Dzwonił do Jane, ale ciągle wymyślała jakieś powody, żeby tylko się z nim nie spotkać. Był na siedmiu rozmowach o pracę - pięciu ofert nie przyjąłby, nawet jakby je mu złożono, z jednej natychmiast zrezygnował, a ostatnia, na której mu zależało, była wielce niepewna, bo starało się o nią kilku ludzi, z którymi kiedyś współpracował, a którzy mieli większe od niego doświadczenie. Aż nagle wszystko zaczęło się układać. Najpierw zadzwonił do niego agent nieruchomości. Okazało się, że najemcy domu Mitcha w Cambridge chcieli go kupić. Nie proponowali zbyt dobrej ceny, ale ją zaakceptował, żeby mieć jeden kłopot z głowy.

Potem zadzwonił agent z Londynu.

- Panie Holland, mamy coś, co może pana zainteresować.

Spotkał się z nim przed domem, który od razu mu się spodobał. Miał trzy sypialnie - jedną dla nich, drugą dla córki, a trzecią dla jej siostrzyczki lub braciszka; do tego rozsądnej wielkości salon i kuch-

### 301

nią z jadalnią. Ogród zimowy może być pokojem zabaw dla dzieci. Dom miał ogródek wystarczająco duży, by mogli mieć psa.

- Kupuję ten dom.

Nie dostał jedynie pracy, o którą tak bardzo się starał, ale nie martwił się długo, bo dwa tygodnie później pojawiła się oferta, która odpowiadała mu jeszcze bardziej.

A miesiąc później miał już klucze do domu. Prawie wszystko było załatwione.

Do pełni szczęścia brakowało mu jeszcze żony i dziecka. A z Jane ciągle nie udawało mu się spotkać.

- Powiedziałaś, że nie będziesz odmawiać mi dostępu, a odmawiasz spotkania, czyli właśnie to robisz.

- Przecież dziecko jeszcze się nie urodziło.

- Ale tęsknię za brzuchem.

- A gdy gonieś za huraganami, to nie tęskniłeś?

- Nie chcę się kłócić. Chcę się tylko z tobą spotkać. Tęsknię za tobą.

Jane zgodziła się umówić z nim na lunch.

- Co słyhać? - zapytał, gdy się spotkali.

- Ktoś strasznie mnie kopie.

- Mogę dotknąć?

- Jasne.

Położył dłoń na brzuchu i poczuł delikatne naprężenia. Był pod takim wrażeniem, że na moment zabrakło mu słów.

- Dziękuję.

Choć cały czas nosił przy sobie pierścionek

## 302

zaręczynowy, to czuł, że nie jest to najlepsza pora, by go wręczyć. Podobnie z kluczem do domu, który planował włożyć do małego pudełka i ofiarować Jane, gdy dom będzie odnowiony i umeblowany.

Rozmawiali na luźne tematy, ale udało się mu przekonać Jane, by spotykali się co środę oraz by pozwoliła mu zawieźć się do szpitala i być przy porodzie.

Etap drugi - malowanie i dekoracja wnętrza domu. Mógł wszędzie zastosować stonowane kolory, ale chciał, żeby Jane weszła i zobaczyła dom ze swoich marzeń.

- Po co do mnie dzwonisz? - zapytała zdziwiona Hannah.

- Bo potrzebuję twojej pomocy.

- Jak to?

• - Spotkajmy się na lunchu, to ci wszystko wyjaśnię, tylko zachowaj nasze spotkanie w tajemnicy.

- Nie podoba mi się ten pomysł.

- To nic złego. Obiecuję. Ale nie chcę, żeby Jane o tym wiedziała.

- Tego nie mogę obiecać.

- Proszę cię, opowiem ci wszystko podczas lunchu, a potem sama podejmiesz decyzję, co zrobić z tą wiedzą.

- Okej. Bądź przed szpitalem o wpół do pierwszej.

- Wielkie dzięki.

Podczas lunchu Mitch wyciągnął aksamitne pudełeczko i pokazał Hannah zawartość.

### 303

- Zbyt błyszczący na szafir.
- Bo to nie jest szafir. To błękitny diament - wyjaśnił Mitch. - Chciałem ofiarować go Jane i się oświadczyć, ale nie zdążyłem, bo wcześniej się wyprowadziła.
- Mitch, przez ostatnie miesiące na ciebie czekała, a ty pojawiałeś się tylko wtedy, gdy działo się coś złego, do tego musiałeś lecieć przez pół świata.
- Powiedziałem jej, że to się zmieni, ale słowa to za mało. Muszę jej udowodnić, że właśnie to znaczą. Chcę stworzyć dla niej prawdziwy dom. I do tego właśnie ty jesteś potrzebna, bo muszę poznać jej ulubione kolory i meble.
- Chwileczkę. A co właśnie znaczy „prawdziwy dom”?
- Dom z jej marzeń.
- Ty naprawdę kupiłeś dom?
- Kilka przecznic od was. Więc jeśli Jane postanowi wrócić do pracy, nie będzie miała problemu z dojazdem. Jak chcesz, to możesz go obejrzeć, tylko że teraz śmierdzi farbą.
- Sam malujesz dom?
- Wiezorami, po pracy.
- A gdzie jest ta twoja praca? W Mongolii?
- W Londynie. To praca za biurkiem, ale związana z meteorologią. I mogę czasem pracować w domu.
- Chcesz mi powiedzieć, że wszystko w swoim życiu zmieniłeś?
- Tak. Teraz muszę tylko przekonać o tym Jane i jej się oświadczyć.

### 304

- A jeśli powie nie?
- Będę ją dręczył oświadczeniami, aż się podda. Więc pomożesz mi czy nie?
- Urządzić dom?
- Możesz być dekoratorem wnętrz.
- To Charlie zna się na tym lepiej.
- Charlie mogłaby się przestraszyć, a to ty zadzwoniłaś do mnie, gdy Jane mnie potrzebowała. I ja ci ufam. - Podał jej tekturową teczkę. - Tu są katalogi. Nawet z mebelkami do pokoju dziecięcego. Przejrzyj je i powiedz mi, co by się jej podobało. Znasz moją komórkę, a tu jest telefon do pracy. - Mitch wręczył jej wizytówkę.
- A więc to prawda. Masz stałą pracę.
- Traktuję z powagą to, co robię.
- Dobrze, pogadam z Charlie i z Shelley.
- I zatrzymacie to w tajemnicy?
- Tak.

Miesiąc później Mitch dokonywał inspekcji swojego dzieła.

Dom był doskonale pomalowany, umeblowany, wykończony i udekorowany. Gotowy do zamieszkania. Mitch miał nadzieję, że spodoba się Jane.

Zapakował klucz do pudełeczka i przewiązał je wstążeczką. Doskonały prezent na Boże Narodzenie dla Jane.

## **ROZDZIAŁ CZTERNASTY**

Tydzień później Mitch siedział w biurze zatopiony w danych, wykresach i mapach, gdy zadzwonił telefon.

- To już chyba staje się tradycją, że dzwonię do ciebie, by cię poinformować, że Jane jest w szpitalu - odezwała się Hannah.
- Co? O, mój Boże! Chyba nie ma kolejnej ab-rupcji?
- Nie. Zaczyna rodzić. Zeszły jej wody płodowe.
- Przecież to o cztery tygodnie za wcześnie!
- Nie panikuj. Wiele dzieciaków rodzi się wcześniej i dobrze się potem rozwijają.
- Już jadę! - Rzucił słuchawkę, zostawił wszystko na biurku i wsadził głowę przez uchylone drzwi do gabinetu szefa.
- Muszę lecieć. Moja... -nie wiedział jak określić Jane - druga połowa rodzi i jej przyjaciółka zawiozła ją do szpitala.
- Słucham? Nawet nie wiedziałem, że masz...
- To długa historia i przepraszam, że ci wcześniej nie powiedziałem. Poprawię się. Ale gdyby teraz ktoś mógł za mnie dokończyć...

## 306

- O nic się nie martw. Damy radę. Leć już i odezwij się, jak poszło.

- Dobra. Do widzenia.

Wybiegł na ulicę i zatrzymał taksówkę.

To wszystko nie było tak, jak sobie wyobrażał.

Jane miała obudzić się z bólami i chwycić za słuchawkę, by do niego zadzwonić, a on natychmiast by przyjechał i zabawił ją do chwili, gdy pojawią się pierwsze skurcze co pięć minut i wtedy sam miał ją zawieźć do szpitala.

Ale najwyraźniej ich dziecko miało inny pomysł na przyjście na świat.

O Boże! Żeby tylko dziecku nic się nie stało!

Każda minuta jazdy taksówką do szpitala wlokła się jak godzina. Po dojechaniu na miejsce Mitch rzucił kilka banknotów na siedzenie i wyskoczył z samochodu.

Wbiegł do szpitala i zatrzymał się dopiero przed oddziałem położniczym.

- Do Jane Redmond. Jestem jej partnerem - przedstawił się w recepcji.

- Jest na sali porodowej numer dwa.

Gdy położna wpuściła go do sali, Jane póżełała na sofie, a obok niej na fotelu siedziała Hannah. Jane była podłączona do różnych monitorów funkcji życiowych, była blada i przerażona.

Mitch był tak samo przerażony, ale wiedział, że Jane chciałaby, żeby był silny.

Usiadł i objął ją ramieniem, drugą ręką pogłaskał ją po włosach.

- Wszystko będzie dobrze. Dasz sobie świetnie radę.
  - To Rebecca, położna Jane - przedstawiła pielęgniarkę Hannah.
  - Czy może mi pani powiedzieć, co się dzieje?
  - Ze względu na zejście wód płodowych monitorujemy zdrowie dziecka. Wszystko jest w porządku. Moglibyśmy poczekać, aż Jane zacznie sama rodzić, bo kobiety zaczynają rodzić w naturalny sposób do dwóch dni po odejściu wód płodowych, lecz to niesie z sobą ryzyko infekcji. Ale ze względu na wcześniejszą abrupcję łożyska Jane zgodziła się na wywołanie porodu. Podajemy jej oksytocynę...
  - Przez kroplówkę, żeby wywołać skurcze - dokończył za nią Mitch. Położna uśmiechnęła się do niego.
  - Wygląda na to, że pan się dokształcił?
  - Trochę przeczytałem.
- Jane spojrzała na niego mocno wytrzeszczonymi oczami.
- Kiedy?
  - Byłabyś zdziwiona.
  - Boję się - odezwała się Jane. - Dziecko urodzi się za wcześnie.
  - Wiele dzieci rodzi się po trzydziestym szóstym tygodniu - odpowiedział.
  - Tak - przyznała Rebecca. - Dziecko może wymagać inkubacji na oddziale intensywnej opieki, żeby wspomóc oddychanie, ale to zdarza się często, więc nie ma się czym martwić. Możemy też podać



steroidy, żeby przyspieszyć pełne przystosowanie płuc do oddychania. Choć wody płodowe odeszły, dziecko nie wyrażało ochoty pojawienia się na świecie. Mitch czuwał przy niej cały czas. Trzymał ją za rękę, wycierał twarz mokrym ręcznikiem, podawał wodę i masował kark, gdy skurcze się nasilały.

W końcu pojawił się lekarz położnik i zbadał Jane.

- Widzę, że poród nie chce się rozpocząć w naturalny sposób. Dziecko zaczyna ujawniać oznaki niepokoju. Musimy wziąć panią na salę operacyjną, pani Redmond, na cesarskie cięcie.

Twarcz Jane stała się biała. Zacisnęła palce na ręce Mitcha.

- Nie zostawiaj mnie!

- Będę przy tobie. - Pocałował ją w czoło. - Za pół godziny zobaczymy nasze dziecko.

Mitch trzymał Jane za rękę przez całą operację. W końcu chirurg wyciągnął dziecko i w sali zapadła cisza.

Cisza, która rozrywała serce Mitcha. Proszę, tylko nie to!

Wreszcie po kilku sekundach rozległ się płacz noworodka.

- Gratuluję. Macie dziewczynkę. Czy chce pan przeciąć pępowinę?

- Oczywiście - odpowiedział, patrząc na Jane z prośbą o akceptację.

Gdy skinęła głową, przeciął pępowinę, a chirurg dokończył zaszywanie brzucha.

- Wasza córka potrzebuje pomocy przy oddychaniu, więc musimy zabrać ją na oddział intensywnej opieki - wyjaśniła Rebecca. - Ale nie ma się czym martwić, wygląda zdrowo i nic jej nie będzie.

Dziwnie się czuli, wracając na oddział bez dziecka. Jane była wykończona, w oczach miała łzy.

- Zostanę z tobą. Śpij. Nie musisz się już niczym martwić, bo jestem przy tobie. Jutro wszystkim rozgłosimy wieści.

Gdy Jane obudziła się rano, Mitch drzemał w fotelu obok jej łóżka.

Wyglądał na bardzo zmęczonego, pewnie czuwał w nocy. Jane zadawała sobie pytanie, czy Mitch zostanie przy niej, czy może należało wszystko zakończyć? Tu i teraz. I próbować żyć całkowicie samodzielnie.

Patrząc na niego, wymęczonego, w pogniecionym ubraniu, musiała przyznać, że był pięknym mężczyzną. Jednak wiedziała, że nie powinna pozwolić sercu podejmować życiowych decyzji.

- Jak się czujesz, Jane? - zapytał momentalnie po tym, jak się obudził.

- Dobrze. - Bolało ją ciało, ale nie miała zamiaru mu tego powiedzieć. - Powinieneś iść do domu i porządnie się wyspać.

- Nie mam zamiaru cię tu zostawić samej.

- Ale ja już sobie poradzę.

- Oczywiście, że sobie poradzisz, ale wieczorem widziałem, jak moje dziecko po raz pierwszy nabrało powietrza do płuc. I nigdzie się stąd nie ruszam.

### 310

- Lepiej naprawdę już idź.

- Dużo ostatnio się działo, więc nie czas teraz na kłótnie. Przeciwnie, powinniśmy spokojnie o wszystkim porozmawiać. I to jak najszybciej. Zadzwoń do Hannah i poproszę, żeby jedna z dziewczyn posiedziała przy tobie.

Mitch wyszedł, ale codziennie ją odwiedzał. A gdy ich córka opuściła oddział intensywnej opieki, tulił ją w rękach cały czas, aż Jane chciało się płakać.

Wreszcie nadszedł czas opuszczenia szpitala. I choć Jane chciała wziąć taksówkę, Mitch nalegał, żeby pojechać jego samochodem.

Jane zmarszczyła brwi, gdy parkował samochód.

- Nie tu mieliśmy przyjechać.

- Nie.

- Nie można tu parkować. To strefa dla mieszkańców.

- Wiem. Ale nie szkodzi.

Zanim Jane zdążyła zaproponować, Mitch wyjął pudełeczko z kieszeni i wręczył Jane.

- Proszę.

- Co to jest?

- To twój prezent na Boże Narodzenie. A ty dałaś mi swój trochę za wcześniej.

- Prezent?

- Otwórz pudełko.

Jane zastanawiała się, co jest w środku. Gdy je otworzyła, zobaczyła klucz na breloczku.

- Do drzwi frontowych - wyjaśnił Mitch. - Do tylnych dam ci później. -

Mitch wysiadł z samochodu

### 311

i zaczął rozpinąć nosidełko z dzieckiem. - No dalej, wysiadaj. Zaraz zacznie padać, a nie chcę, żeby Chloe się przeziębiła.

Nic z tego nie rozumiejąc, Jane ruszyła za Mi-tchem po chodniku.

- Jesteśmy w domu - oświadczył, odsuwając się na bok. - Otwórz drzwi kluczem, który ci dałem.

Jane zrobiła, jak prosił, a Mitch wniósł dziecko do środka. Zaraz wrócił, wziął ją na ręce i przeniósł przez próg.

Patrzyła na niego ze zdumieniem w oczach.

- To twój dom?

- To nasz dom.

- Ale...

- Proszę, rozejrzyj się. - Wskazał jej drogę do salonu. W kącie stała wielka choinka udekorowana światełkami i bombkami. Pod nią leżały prezenty.

Dziecko spało spokojnie w nosidełku koło choinki.

Jane z zachwytem oglądała jadalnię i kuchnię. Były niezwykle.

Mitch stworzył dla niej dom, który sama mogła sobie tylko wymarzyć.

Po policzku spłynęła jej łza. Mitch wytarł ją kciukiem.

- Nie płacz, kochanie. Jeśli coś ci się nie podoba, powiedz tylko, a zaraz zmienimy.

Jakże miałby się jej nie podobać. Był cudowny.

- Zrobiłeś to wszystko dla mnie?

- Chciałem pokazać ci, jak bardzo cię kocham. To jest nasz dom. Mam posadę w Londynie i ruchome

## 312

godziny, więc mogę dostosować pracę do potrzeb domowych. -

Wyciągnął wizytówkę i wręczył ją Jane. - Moje biuro jest niedaleko żłobka i przedszkola, jeśli chciałabyś wrócić do pracy. Czy zmienił się całkowicie dla niej?

- Chodź, pokażę ci piętro.

Pokoik dla dziecka wywołał łzy w oczach Jane. Mitch wybrał dokładnie takie meble, o jakich marzyła dla Chloe.

- Sam to wszystko urządziłeś?

- Wszystko, oprócz zasłon. Muszę przyznać, że pomogła tu mama Hannah.

- To Hannah o wszystkim wiedziała?

- Mhm. No to możesz już poznać resztę prawdy. Charlie i Shelley też brały w tym udział. Pomogły dobrać kolory i detale.

- Więc ty to wszystko zaplanowałeś z dziewczynami?

- Sam zaplanowałem, a one mi pomogły w realizacji.

- Ale... ty jesteś łowcą burz!

- Byłem. Gdy poprzednim razem wróciłem do domu, chciałem ci powiedzieć, że pragnę ciebie o wiele bardziej niż gonienia za burzami. Że moje życie należy do ciebie. I że tęskniłem za tobą tak bardzo, że aż bolało mnie serce. I że chciałem być w domu. Przy tobie.

- Naprawdę?

- Naprawdę.

- Ale czy to cię nie znudzi?

### 313

- Nie. W nowej pracy zajmuję się bezchmurnym niebem. Ta praca jest jak wakacje. Będę mógł cię z sobą zabierać, by obejrzeć zorzę polarną albo tornado albo tęczę za wodospadem, bo przecież nie jesteś z tych, co to leżą plackiem na plaży?

- Zdecydowanie nie.

- Jak chcesz, to będziesz mogła się zanurzyć w starych księgach parafialnych w okolicy albo wprosić się do prywatnej biblioteki w domu zamożnego ziemiaństwa. Nie ma problemu. Ja wtedy będę robił zdjęcia nieba. - Ujął jej dłoń i pocałował jej palce. - Chodź, pokażę ci resztę domu.

W domu były dwie sypialnie: jedna całkiem zwykła, a druga przytulna, bardzo kobieca.

- Czy to mój pokój?

- To jest nasz pokój. - Mitch zaakcentował słowo „nasz”. Po chwili zaskoczył ją jeszcze bardziej, klękając na kolano. - Do tej pory wszystko robiliśmy, zaczynając od końca, więc kontynuujmy tę naszą nowoczesną tradycję. Najpierw urodziliśmy dziecko. Potem przenieśliśmy cię przez próg... więc teraz... nadszedł czas, żebym poprosił cię o rękę.

- Chcesz się ze mną ożenić?

- Tak, bo cię kocham. Chcę, żebyśmy byli razem przez resztę naszego życia. Ty, ja i Chloe... i może jeszcze jej mały braciszek lub siostrzyczka...

- Ty naprawdę mnie kochasz?

Mitch wyciągnął z kieszeni pokryte aksamitem pudełeczko.

- Kupiłem to, zanim wróciłem do domu przed

### 314

ostatnim tornadem, i nosiłem przy sobie przez cały czas, czekając na właściwy moment. Kocham cię, Jane Redmond. Moje życie bez ciebie nie ma sensu. Czy wyjdiesz za mnie?

Otworzyła pudełeczko i zobaczyła najpiękniejszy kamień szlachetny, jaki kiedykolwiek widziała. Błyszczał jak najpiękniejszy diament, ale, może to przez łzy, nie wydawał się diamentem, bo przecież nie mogą być błękitne.

Ostatnią kwestię musiała wypowiedzieć głośno, bo Mitch odpowiedział:

- Ten jest błękitny.

- Błękitny diament?

- Jak kolor twoich oczu.

- I nosiłeś go przy sobie całymimi miesiącami?

- Mhm. Przez ten czas tworzyłem dom dla naszej trójki. Czy teraz mi wierzysz? Czy wyjdiesz za mnie?

- Tak, wierzę. Tak, wyjdę za ciebie.

- Brakuje jeszcze tylko trzech słów - wypomniał jej Mitch.

Jane roześmiała się.

- Czterech. Ja też cię kocham.

- To dobrze. - Mitch wyciągnął pierścionek z pudełka, pocałował jej palec serdeczny i wsunął na niego pierścionek. - Pasuje doskonale. Tak jak my do siebie.